

MOJA SYBERYJSKA DROGA

Halina Mil z domu Adamska

Sybiraczka

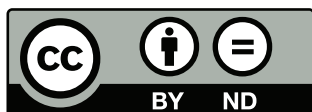


MOJA SYBERYJSKA DROGA

**Halina Mil z domu Adamska
Sybiraczka**

Wrocław, sierpień 1989 r.

Opracowanie redakcyjne niniejszego tekstu zostało wykonane w ramach egzaminu z przedmiotu edytorstwo współczesne na kierunku informacja naukowa i bibliotekoznawstwo (Uniwersytet Wrocławski). Pracowały nad nim: Iwona Bany, Weronika Lesiczka i Łucja Szyndrowska, pod opieką dr Ewy Jabłońskiej-Stefanowicz.



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 3.0 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę: <http://creativecommons.org/licenses/by-nd/3.0/pl/>. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Projekt okładki: *Zbigniew Mil*

Skład i opracowanie techniczne: *Marta Uruska eBooki.com.pl*

Sybiracy.pl

2015

Czymże jest życie ludzkie, skoro tak bardzo walczy się o to życie, zwłaszcza gdy jest zagrożone? Czymże jest Ojczyzna? Myślę, że nigdy nie kochałabym tak bardzo swojego kraju, gdybym nie przeżyła wygnania i tej ogromnej tęsknoty za własną ziemią, własnym językiem i własnym prawem do kraju. W tym prawie do własnego kraju jest wiele niedosytu i ten niedosyt może tak bardzo odczuwam, dlatego że jestem Sybiraczką. A może również dlatego, że w moich żyłach płynie krew polskiego żołnierza, który od siedemnastego roku życia aż do kresu swoich dni walczył o tę wolną, o tę suwerenną i sprawiedliwą Polskę?

Spis fotografii

Fotografia 1. Dzień zaręczyn moich Rodziców	9
Fotografia 2. Plaża nad rzeką Uszą w Kraśne. Jesteśmy z cicią, rodzeństwem i ostatnią moją lalką	10
Fotografia 3. Ja z rodzeństwem – u góry brat Tadeusz, z mojej lewej strony siostra Alfreda, z prawej strony siostra Aleksandra	10
Fotografia 4. Szpital polski, w którym siostra Alfreda służyła jako pielęgniarka	20
Fotografia 5. Koperta	34
Fotografia 6. Sybiracy. Moja Mama, brat Tadeusz i ja przy symbolicznej mogile Ojc	48

Spis załączników

Załącznik 1. Koperta listu zwróconego z Kozielska	13
Załącznik 2. Dokument wydany w Szczerbaktach przez NKWD (20 IX 1941 r.)	15
Załącznik 3. Kartka pisana przez moją siostrę Alfredę do Steni Sendal (10 III 1941 r.)	17
Załącznik 4. Kartka pisana przez Olę (6 IV 1945 r.)	22
Załącznik 5. Mój list (30 V 1945 r.)	22
Załącznik 6. Mój list (31 VII 1945 r.)	23
Załącznik 7. Zaświadczenie o pracy Aleksandry w Promarteli	24
Załącznik 8. Mój list (13 XI 1945 r.)	26
Załącznik 9. Druga strona mojego listu do Steni	26
Załącznik 10. List Edwarda i mój (8 VIII 1945 r.)	30
Załącznik 11. List Aleksandry (24 VIII 1945 r.)	31
Załącznik 12. Ksero zaświadczenia opłaty za prenumeratę gazetki „Wolna Polska”	32
Załącznik 13. Mój list (20 XI 1945 r.)	32
Załącznik 14. List mojej mamy (28 XI 1945 r.)	33
Załącznik 15. Zezwolenie na wyjazd do Karasuka	41
Załącznik 16. List Aleksandry dotyczący wyjazdu Polaków z Sybiru (17 X 1944 r.)	44
Załącznik 17. Zaświadczenie o zaległych pieniądzach z miejsca pracy	45
Załącznik 18. Zaświadczenie o zaległych pieniądzach z miejsca pracy	46
Załącznik 19. Zaświadczenie o zaległych pieniądzach z miejsca pracy	46
Załącznik 20. Zaświadczenie o otrzymaniu wyposażenia i prowiantu na drogę	47

Dnia 15 I 1989 r. o godzinie 11⁰⁰ w gmachu Polskiego Radia przy ul. Armii Radzieckiej we Wrocławiu został powołany Związek Sybiraków Dolnego Śląska. Dużo wcześniej, przed wyznaczoną godziną 11⁰⁰, naddciągają tłumy. Są to ludzie, na których twarzach nie tylko jest wyryty czas, uchodzące lata, ale jednocześnie widać ogromny bagaż obciążeń psychicznych. Jak na dłoni wyryte są przeżycia ciężkich lat, lat łagrów, więzień, tułaczki po stepach Kazachstanu. Czas głodu, wielkiego głodu. Ludzie, dziś już co najmniej po pięćdziesiątce, ale wtedy w większości dzieci, których jedynym marzeniem był kawałek chleba.

Pamiętam sama rok 1944, gdy jako dziecko, aby uniknąć śmierci głodowej, zostałam oddana wraz z moim młodszym bratem Edwardem do szpitala i to za protekcją (moja matka sprzedała lekarce tegoż szpitala swoje karakułowe futro). Szpital ten mieścił się w Szczerbaktach, w ciurupińskim rejonie, w Pawłodarskiej *obłości*.

Do dziś pamiętam ciemny, mały pokoik i nasze wspólne łóżeczko pod ścianą. Dostawaliśmy raz dziennie miseczkę zupy i za nią musieliśmy leżeć cicho i spokojnie cały dzień, bo poruszać nam się nie było wolno. Czasem tak leżąc, powtarzaliśmy sobie jakieś znane wierszyki, czasem nuciliśmy piosenki. Nie zapomnę nigdy, gdy nucąc piosenkę „Odejdź Jasiu od okienka, dam ci chleba pół bochenka” nie mogliśmy zrozumieć tego Jasia, który za pół bochenka chleba musiał tak niewiele zrobić – tylko odejść od okienka. Zapytywaliśmy siebie, co zrobilibyśmy, aby zdobyć chociaż kromkę chleba. Nic – mogliśmy tylko leżeć spokojnie i czekać na następny dzień, by znów dostać wyczekiwaną miseczkę zupy.

Codziennie pod okno szpitala przychodziła nasza starsza siostra Ola, aby nas zobaczyć, czasem podać jakąś *lepioszkę*. Najczęściej jednak nie miała nic

oprócz łez, zwłaszcza gdy widziała, że z każdym dniem coraz trudniej podchodzimy do okna, bo od stałego leżenia rozpoczął się proces zaniku mięśni i po prostu nie umieliśmy już prawie chodzić, a i głód przyspieszył ten proces. Zabrała więc nas do domu, do naszej ziemianki, w której nie było chleba, ale można było przynajmniej się poruszać.

Nasze marzenia o chlebie wcale nie skończyły się z przyjazdem do Polski. Jeszcze długie lata nie wyobrażałam sobie, że można zjeść go do woli. Jako dzieci przedwojennego oficera, który zginął w Katyniu (obóz w Kozielsku), dzieci oficera odznaczonego Krzyżem *Virtuti Militari*, dzieci powstańca wielkopolskiego, byliśmy wrogami narodu – dziećmi faszystowskiego oficera. Nie było dla nas stypendiów, rent, jakiegokolwiek pomo-



Fotografia 1. Dzień zaręczyn moich Rodziców

cy. To wszystko boli, bardzo boli! Zniszczono nam lata dzieciństwa i młodości, nie dając możliwości dobrego startu ani rekompensaty. Czy to nie jest krzywda, a może inaczej – zbrodnia?



Fotografia 2. Plaża nad rzeką Uszą w Kraśne. Jesteśmy z cicią, rodzeństwem i ostatnią moją lalką



Fotografia 3. Ja z rodzeństwem – u góry brat Tadeusz, z mojej lewej strony siostra Alfreda, z prawej strony siostra Aleksandra

To były moje refleksje, które emocjonalnie zostały wyzwolone, sprowokowane wpływem atmosfery dnia 15 I 1989 r., tym bardziej, że to historyczne zebranie (powołanie Związku Sybiraków Dolnego Śląska) protokołowałam. W moim odczuciu był to wstęp do tego protokołu. Niemniej ten wstęp wyzwolił wspomnienia i związane z nimi natłok przeżyć, dotąd hermetycznie zamknięty i jak górski potok po silnym, ulewnym deszczu, zaczął obfitością swoich wód wypływać poza dotychczasowe koryto i w sposób niesłychanie żywiołowy wyzwałać coraz to nowe wspomnienia. Już w tym momencie te wspomnienia nie pozwoliły, abym poprzestała na ich połowicznym odkryciu.

Stąd już bardzo długa „syberyjska droga”. O tak... „Syberyjska droga” – dramat mojej rodziny i wszystkich tam przebywających rodzin polskich, a także dramat moich dzieciennych lat. Dziś – bardziej niż kiedykolwiek – widzę, jak ten dramat odbił się w mojej psychice, w całym odbiorze świata i całej rzeczywistości. To nie było obojętne, że już od bardzo wczesnych lat poczucie zagrożenia oraz walka o byt były moją formą egzystencji. Nie było również obojętne, że właściwie nie przeżyłam dzieciństwa. Moja lalka, która zamykała oczy i wołała „mama”, została przeze mnie

wzięta na Sybir, ale tam już nie dojechała, gdyż w tłoku wagonu została zdeptana i zniszczona. Pamiętam moje duże łzy, które płynęły z oczu. Żegnałam ostatnią lalkę i moje bez troskie dzieciństwo.

Jest 16 IX 1939 r. Wcale nie jestem wesoła, chociaż jest ciepło, powietrze letnie, świeci słońce. Wiem, że jest wojna i wiem, że Polska jest zagrożona – giną ludzie. Mój ojciec też ma iść na wojnę, ma już kartę powołania. Wystawione w oknie przez ojca radio podaje, że Warszawa się broni. Wiem, że Warszawa jest stolicą Polski. Więc „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Tak, ale Niemcy zdobywają coraz to nowe miejscowości. Co to będzie?

Jesteśmy w domu tylko z mamą i młodszym bratem. Moje starsze rodzeństwo pojechało do Mołodeczna. Tam są na stacji i chodzą do gimnazjum. Ojciec pojechał na inspekcję na pogranicze. Wrócił późnym popołudniem i powiedział, że granica od strony Rosji jest bezpieczna – spokój i cisza, wiszą białe chorągwie. Po kolacji idziemy na spacer wzdłuż torów kolejowych. Ojciec, mama z bratem na rękę i ja, bardzo blisko ojca. Jest piękny wieczór, wydaje mi się, iż była pełnia księżycy. Rano zbudziłam się bardzo wcześnie, zaraz jak zadzwonił telefon. Ojca już nie było w mieszkaniu, a od mamy dowiedziałam się, że poszedł do baonu palić papiery, bo Sowieci przekroczyli granice Polski. Pamiętam, że nie mogłam tego zrozumieć, przecież ojciec wczoraj mówił, że od strony Rosji jesteśmy bezpieczni. A potem już wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ojciec na chwilę wrócił do domu, w pośpiechu pożegnał się z nami i poszedł z wojskiem.

Przekroczenie granicy przez Sowieców bez wypowiedzenia wojny i do ostatnich niemal minut jako neutralnych w tej wojnie, w pewien sposób było dla polskiego zaskoczeniem. Toczyła się wojna na froncie z Niemcami, wszystkie możliwe siły koncentrowały się wokół tego frontu. Uderzenie Sowieców od wschodniej granicy było ostatecznym ciosem dla Polski, niemniej wojsko polskie ruszyło, nie patrząc ilu ich jest i jak są zorganizowani. To nie była ucieczka – przynajmniej w świadomości polskiego żołnierza.

Mój ojciec i inni szli, by stawić opór nacierającemu wrogowi. Gdy w Mołodecznie, u wylotu miasta, spotkało go moje rodzeństwo, było ich sporo. Większość z nich szła pieszo, inni jechali rowerami, na wozach wieziono prowiant i resztki uzbrojenia. Zdążali w kierunku Wilna – taki mieli rozkaz i tam ponoć mieli stawić zbrojny opór nacierającym wojskom sowieckim. Było to prawdziwe wojsko polskie, które szło bronić Polskę, faktycznie do ostatniej kropli krwi, bo sytuacja była beznadziejna.

Wracając do spotkania ojca przez moje rodzeństwo w Mołodecznie – ojciec rozmawiał i żegnał się z nimi w marszu, prawie się nie zatrzymując. Prosił, by wracali do domu. Zdążył jednak odpiąć Krzyż *Virtuti Militari* i Krzyż *Walecznych*, które oddał mojemu bratu Tadeuszowi.

Wczesnym przedpołudniem do naszego miasteczka zaczęły wjeżdżać sowieckie czołgi i, niemalże jednocześnie, zjawili się u nas NKWD-ziści, by zabrać

telefon i zapytać gdzie *sobaka*. Mieliśmy bowiem dużego wilczura Rekxa, który poszedł z ojcem na front i ponoć zginął przy swoim panu w chwili, gdy ojciec został rozbrowiony przez Sowietów. Bodaj następnego dnia wróciło moje rodzeństwo z Mołodeczna. Odtąd zaczęła się nasza niewola i niepewność o jutro. Najbardziej martwiliśmy się o naszego ojca. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Męczyła nas niepewność o jego życie i zdrowie. Różne dochodziły wieści od wracających z frontu żołnierzy. Byli i tacy, którzy mówili, że widzieli jak zginął.

Ta niepewność trwała do 22 IX – do chwili, gdy ujrzelśmy ojca jako jeńca sowieckiego w zakratowanym wagonie towarowym. Tych wagonów było dużo, bardzo dużo, a w nich wielu polskich oficerów. Wieziono ich z Wilna na wschód, w kierunku nieznanym ani nam, ani tym bardziej samym jeńcom. Wstrząsające dla nas i całej rodziny były dni po wkroczeniu Sowietów na nasze tereny. Zostaliśmy nagle zdani sami na siebie, zdani na niepewność jutra.

W sierpniu tego roku, tzn. 1939, wprowadziliśmy się do nowo wybudowanego domu (dotąd wynajmowaliśmy mieszkanie w parku u pani Małakiewiczowej). Niewiele pamiętam z nowo zamieszkałego domu. Wiem, że główne wejście było bardzo ładne – wchodziło się po schodach na dużą werandę. Przed nią znajdował się duży ganek, a na nim dużo kwiatów. Było też tylne wejście – tam był też przedpokój, a potem wejście do kuchni. To wejście również miało werandę i tam też było dużo kwiatów. Jak wyglądało mieszkanie wewnątrz, mam nikłe wspomnienie. Od rodziny wiem, że był to ładny, parterowy, drewniany domek i mieścił dość dużą jak na owe czasy powierzchnię mieszkalną. Domek ten był w pobliżu dworca, na peryferiach miasteczka.

W momencie wkroczenia Sowietów do naszego miasteczka, solidnie nas okradziono. Wyniesione przez mamę rzeczy do piwnicy, takie jak radio, maszyna do szycia, zniknęły bezpowrotnie. Mieliśmy później dużo nieprzyjemności z tego powodu, gdyż radio kupione było u Żyda na raty i nie było jeszcze w całości spłacone. Ów Żyd, chyba na drugi dzień po wkroczeniu Sowietów, przyszedł, by je odebrać. Gdy dowiedział się, że radio zostało ukradzione, nachodził nas niemal codziennie z NKWD-zistami tak długo, aż wymógł, by zarekwirować w zamian meble, tj. stół, krzesła, biurko, biblioteczkę do książek i patefon.

Wracając do 22 IX 1939 r., tzn. do piątego dnia od wkroczenia Sowietów. Otóż, od zawiadowcy stacji dowiedzieliśmy się, że będzie przejeżdżał transport jeńców polskich. Ta wiadomość niosła z sobą nadzieję, że może wśród tych jeńców spotkamy ojca. Bacznie więc obserwowaliśmy nadjeżdżające pociągi, zwłaszcza że mieszkaliśmy blisko dworca kolejowego. I oto w porze wczesnego popołudnia, a wiem, że była to ta pora, bo mój młodszy brat spał, wjechały zakratowane wagony towarowe i ktoś powiedział, że to właśnie polscy jeńcy. Momentalnie znaleźliśmy się na dworcu. Wyprzedziła nas wszystkich moja starsza siostra Ola, która porwała z pościeli śpiącego brata, wzięła go na ręce i – aby szybciej dotrzeć do dworca – przeszła pod wagonami.

To, co ujrzeliśmy, było czymś, co nigdy nie zostanie zatarte w mojej pamięci. Chociaż wagonów było wiele, ja widziałam tylko ojca. Pamiętam jego pierwsze słowa: „Czy jesteście wszyscy?”. Widzę do dziś jego wzrok obejmujący nas wszystkich i jego nieukrywane łzy w oczach. Mój ojciec płakał. Był zarośnięty, szerniały, wychudzony. Miał zarzucony na ramiona płaszcz. Nie mogliśmy podejść blisko. Dzieliła nas od ojca bariera sowieckiego wojska, które hałaśliwie odpędzało nas od wagonów. Mój ojciec o nic nie prosił. Inni wołali: „Chleba, wody!”. Przynoszone jeńcom przez rodziny produkty lub jakieś rzeczy wbijano na bagnet karabinu i podawano jeńcom. Wszystko skrzętnie kontrolowano, nawet skarpety były rozwinięte i w nieładzie wrzucone do okna, w którym stał mój ojciec. To okno było u szczytu wagonu. Prawdopodobnie ojciec stał na jednej



Załącznik 1. Koperta listu zwróconego z Kozzielska

z górnych prycz, które służyły do spania. Tak wyglądało nasze pożegnanie z ojcem. Pożegnania to było przedłużane listami z Kozzielska. Dostawaliśmy te listy do momentu naszej zsyłki na Sybir, to jest do marca 1940 roku. Wysyłane z Sybiru listy do ojca pozostawały bez odpowiedzi. I oto wreszcie nadszedł list! Najpierw radość, a potem ogromne rozczarowanie. Na odwrocie pieczętka z Kozzielska, a przy niej adnotacja: adresat

ubył. Przyjęcie zwrotu przez Sosnowkę, miejsce naszego pobytu na Sybirze, 6 III 1941 r. Załączam ksero tej koperty. Zostaliśmy zabrani z miejsca naszego zamieszkania (Kraśne nad Uszą w woj. wileńskim) w marcu 1940 r. Pamiętam najbardziej moment tłuczenia do drzwi, a potem wybijanie ich kolbą karabinu. Pamiętam przeraźliwe, złowieszcze krzyki *odkroj*, a potem wtargnięcie do naszego mieszkania. Nie pamiętam tylko ich twarzy, ale skojarzenia były i są do dziś jednoznaczne. Każdy ich ruch, spojrzenie przesycone były głęboką nienawiścią i jednocześnie sadystyczną rozkoszą z tego, że wolno im było robić z nami wszystko. Wszystko, oprócz jednego – nie wolno im było nas zabić, bo przecież tuż pod naszymi oknami stała furmanka, na którą trzeba było zmieścić pięcioro dzieci (bo tyle nas było) oraz mdlejącą z lęku i przerażenia matkę. Był silny mróz i jeszcze mrok nocy, ale miejscowi ludzie dostrzegli, że znów „wywożą”. Jakaś kobieta z płaczem podeszła, by nas pożegnać, inna wcisnęła szalik, by założyć, bo było bardzo zimno.

Byłam wówczas małą dziewczynką i wszystkie te przerażające fakty razem wzięte przerastały moje możliwości oceny. Tuliłam się do starszej siostry, patrzyłam badawczo na zrozpaczoną matkę. Wieziono nas do punktu zbioru do stacji

Olechnowicze. Potem pamiętam wagon. Było nas w nim dużo, bardzo dużo. Bydłęce, zakratowane wagony z półkami do spania. Moje miejsce było na samym dole, na kufereku, który do dziś jest w kolekcji rodzinnej. Mieścił on wówczas cały nasz majątek zabrany w pośpiechu z domu. Nie pamiętam, czym byłam przykryta, pamiętam jednak, że płakałam po nocach, bo spanie było bardzo niewygodne (kuferek był mały i wąski), a poza tym było mi zimno, zwłaszcza wtedy, gdy otwierano w nocy drzwi wagonu i wołano: „*Kipitok!*”. Drzwi wagonu i okna były zamknięte. Wiem, że ta świadomość zamknięcia bardzo mnie męczyła i sądzę, że z tych właśnie przeżyć pozostał mi lęk przed zamkniętymi pomieszczeniami.

Nie pamiętam wszystkich współtowarzyszy podróży z naszego wagonu. Pamiętam jedynie, że w wagonie razem z nami była Ewa Podwińska z trzyletnią córeczką Lalunią. Mąż Ewy Podwińskiej – Stanisław Podwiński – był, podobnie jak nasz ojciec, w obozie w Kozielsku i jest ujęty na liście katyńskiej (Stanisław Podwiński – kapitan, lekarz). Razem jechaliśmy do naszych ojców – tak nam przekazywano. Jechała z nami również rodzina żydowska. Pamiętam to, ponieważ jak to dzieci, a było nas sporo, hałasowaliśmy. Nasza mama zwróciła nam uwagę, że jest jak w hederze żydowskim, a wtedy starszy pan, Żyd, powiedział: „Szanowna pani, ja panią przepraszam, ale w hederze jest zawsze cicho, bo heder to heder”. Pamiętam również dobrze tego starszego pana, bo on najbardziej i najgłośniejsz domagał się za nas wszystkich, ażeby na stacjach postojowych otworzyć drzwi wagonu. Pamiętam również i to, że pani Podwińska, zawsze gdy zjawiały się urzędowe osoby w wagonie, prosiła, by przywoząc nas do miejsca przeznaczenia zostawiono nas „w mieście”. Przypominało to słowo „razem” w języku rosyjskim, a pani Podwińskiej chodziło o miasto, pochodziła bowiem z Warszawy. Tak czy inaczej, odcytane, urzędowe głowy kiwały, że zrozumiały i że prośbę zrealizują.

Z tej podróży, która trwała cały miesiąc, moja pamięć rejestruje taki moment. Jesteśmy już w głębokiej Rosji. Jest ciepło, bardzo ciepło. Na dworcu wielki ruch. Rosyjskie dzieci i starsi podchodzą blisko naszych wagonów. Są bardzo ciekawi, coś mówią, ale ja ich nie rozumiem. Natomiast bardzo się dziwię, bo wszystkie dzieci zwracają się do kobiet i mężczyzn nazywając ich „ciociami” i „wujkami”. Myślę sobie – tyle ludzi i wszyscy są ze sobą spokrewnieni, to niemożliwe! A potem już moment, który chyba najbardziej utrwalił się w mojej bardzo małej jeszcze głowce. Stacja kolejowa, której nazwy nie pamiętam, ale wiem, że to koniec naszej podróży koleją. Wsiadamy z wagonów, podjeżdżają samochody ciężarowe, ładują nas do nich, a potem w promieniu 50 km rozwożą po kolchozach. Nas przeznaczono do kolchozu Sosnówka i wyrzucono w środku wsi. Oto koniec naszej podróży i początek sześcioletniej tułaczki.

Jak długo tak siedzieliśmy z naszym kuferkim i kilkoma tłumoczkami, nie pamiętam. Wiem tylko, że zostaliśmy przyjęci przez tubylczą rodzinę do kuchni i spaliśmy wszyscy na jednym przypiecku. Odtąd przez długi okres czasu, gdzieś około jednego roku, moja matka razem z nami codziennie wieczorem musiała

zgłaszać się w Selsowiecie, tj. w urzędzie gminy kołchozu. Nie wolno nam było gdziekolwiek przebywać poza wsią, do której nas przywieziono. Nie mogliśmy również przez ten okres nigdzie pracować.

Trudno jest mi z odległości czasu i spojrzenia dziecka odtworzyć nasze życie w porządku chronologicznym. Wiem, że w ciągu naszego pobytu na Sybirze zmienialiśmy miejscowości. W kwietniu 1940 r., już w pełni lata, zamieszkaliśmy w Sosnówce. Poza nią mieszkaliśmy w Orłówce i Szczerbaktach. Wsie Orłówka i Sosnówka odległe były od stacji kolejowej gdzieś około 50 km, natomiast Szczerbaktki były miasteczkiem i miały swoją stację kolejową. Mieszkaliśmy tam wtedy, gdy poprawiała się sytuacja polityczna Polaków, natomiast, gdy coś się psuło (np. po wyprowadzeniu wojsk polskich z Rosji przez Andersa), zaraz byliśmy ze Szczerbaktki wysiedlani do Orłówki. Później znów wróciliśmy do Szczerbaktki, chyba już wtedy, gdy został zawiązany Związek Polskich Patriotów. Pozostaliśmy tam aż do naszego wyjazdu, tj. do maja 1946 r.

Zachował się dokument wydany przez NKWD w Szczerbaktkach z 20 IX 1941 r. Znosił on ograniczenie pobytu w jednej miejscowości i codzienne meldowanie się w Selsowiecie. Są niezgodności w datach urodzenia. Siostra Aleksandra urodzona jest w 1925 r., a nie 1928. Mama najwidoczniej tak wpisała, by ustrzec moją siostrę jak najdłużej przed przymusową pracą. Tak samo mój rocznik urodzenia – 1933, a nie 1932. Dołączam ksero tego dokumentu.

УДОСТОВЕРЕНИЕ

Предъявитель сего Адамская Ядвига
Фортковка год рождения 1903
место рождения Форткин

На основании указа Президиума Верховного Совета амнистирован как польский гражданин имеет право свободного проживания на территории СССР, за исключением пограничной полосы, запретных зон, местностей объявленных на военном положении и режимных городов первой категории.

При нем находятся:

1. Роды Адамская Александра Фортковна 1928
сын " " " " " " 1927 г.
2. роды " " " " " " 1932 г.
3. сын " " " " " " 1933 г.

Гр Адамская Я. Ф. направляется к избранному им месту жительства п. Орловка Цюрюшинского района

Удостоверение действительно на три месяца и подлежит обмену на паспорт.
Изложенное удостоверяется подписью и печатью.

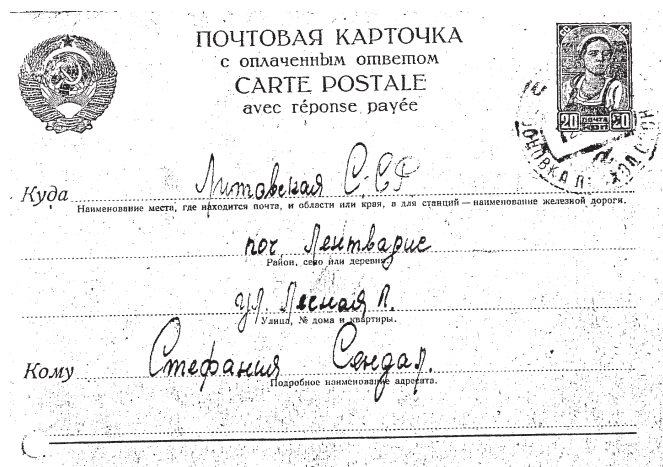
Нач. Цюрюшинск Райстделения НКВД Секретарь РО НКВД Райн

Załącznik 2. Dokument wydany w Szczerbaktkach przez NKWD (20 IX 1941 r.)

Wydanie tego dokumentu prawdopodobnie zbiega się z naszym pierwszym pobytem w Szczerbaktach i jest poprzedzone takimi faktami, jak zwolnienie gen. Andersa z więzienia 4 VIII 1941 r., ponadto układem o utworzeniu Armii Polskiej w ZSRR 14 VIII 1941 r., jak również przybyciem Ambasady Polskiej do ZSRR 4 IX 1941 r.

Wszystkie miejscowości, w których zamieszkiwaliśmy, znajdowały się w rejonie ciurupińskim, w Pawłodarskiej obłości. Zarówno na początku, jak i przez cały okres sześciolletniej tułaczki syberyjskiej, żyliśmy z dnia na dzień, w krańcowej nędzy i wielkim głodzie. Jeszcze w początkach pobytu mieliśmy trochę rzeczy, które zamienialiśmy na żywność, mieliśmy też trochę złota. Oddawało się to wszystko za bezcen, nierzadko za trochę ziemniaków lub garstkę zboża.

Moja pamięć z większej wymiany w czasie naszej pierwszej zimy (przełom 1940/41) rejestruje następujące zdarzenie. Mieszkamy już w ziemiance, ściany są oszronione, jesteście bardzo głodni i nie ma nadziei, ażeby bieżący dzień zmienił cokolwiek w naszej sytuacji. Wczoraj wprawdzie udało się moim siostram – Alfredzie i Aleksandrze – zdobyć worek pszenicy, na zasadzie jakiejś wymiany, ale po zawiezieniu go do młyna okazało się, że będą kłopoty ze zmieleniem, gdyż młynarze zalegają z pracą. Powiedzieli też, że można zostawić ten worek, ale nie dają żadnej gwarancji co do zmielenia. I oto w pewnej chwili wpada mój brat Tadeusz, uszczęśliwiony i woła, że mamy mąkę, gdyż do młyna wtargnął jakiś pijany człowiek, poprzestawiał worki i nasza pszenica została w tym zamieszaniu wrzucona do przemiału. Wiem, że moja mama z radości płakała i byliśmy pewni, że stało się to za przyczyną Matki Boskiej Ostrobramskiej, której obraz wyjęty z ramy zabraliśmy w czasie wywózki ze sobą. Ten obraz mamy do dnia dzisiejszego. Załączam ksero kartki pisanej 10 III 1941 r. na temat tego wydarzenia przez moją siostrę Alfredę do Steni Sendal – koleżanki mojej siostry z harcerstwa, zamieszkałej wówczas na Litwie. Wszystkie dalej cytowane listy są adresowane właśnie do niej. Przetrwały, gdyż zostały nam przez Stenię zwrócone po naszym powrocie. Cytuję te słowa:



...Wczoraj jakimś cudem zmieliśmy pszenice – ach co za tryumf. Pomyśl, zwyciężyliśmy, powiedziano nam, że «kto nie rabota ten nie kusza», a jednak ręka Boża dopomogła nam...

Z tej zimy pamiętam również i taką zamianę, gdzie udało nam się zdobyć większą ilość ziemnia-

Heleni Kochan! Casuorka 10. III. 41.
 Twój dostąpił Twój drugi koledzki
 list. Stefan! Ty nie wiesz jak się strasznie
 mnie sztytam. Wybacze że nie piszę listu, ale
 nie mam czasu. Jesteś uadłodny, a to mi nie
 nie. Ach Stefan! Ty nie wiesz ile uadłodny
 są ci kawalerem wrony. Kiedyś jakis
 cudem amuletym przeszedł - ach co ja
 tłumacz. Porużył, wyjechał, powiada
 nam że do mi walczył. Ten niekusi, a jedne
 rękę Bożę dopomaga nam. Wszystko to piszę ci.
 chyba nie obrosło się za kłma, list 2.
 Naprawdę za Wasz dobroć mi wam jak tam
 się uadłodny - co ja jestem bezsilny. - tylko
 co dzieńnie do mojej modlitwy dotęsam to że
 prosy Boga aby wynagrodził tam opiekował się.
 Stefan. czy nie wiesz jeszcze o moim
 Janku! Wybacze że mi ~~nie~~
 nie wiesz jeszcze o moim Janku! - Ach Stefan! jak
 już brakuje kiedyś czasem wiesz, sigto to
 kiedyś nie to opowiada. Moje ci cały ~~ty~~

Załącznik 3. Kartka pisana przez moją siostrę Alfredę do Steni Sendal (10 III 1941 r.)

ków. Nie potrafię określić, ile ich było, ale wiem, że były to ziemniaki zmrożone. Dla oszczędności ugotowaliśmy je w łupach. Pamiętam, że od tych mrożonych ziemniaków wszyscy dostaliśmy zatrucia pokarmowego. O tym, jak bardzo utrwaliło się to zatrucie w mojej pamięci, świadczy fakt, że od tego momentu nie mogę spojrzeć na ziemniaki w łupach – sam ich widok wywołuje u mnie odczucie mdłości.

Nasze życie z dnia na dzień, w trosce o to, by nie umrzeć z głodu, właściwie niewiele różniło się od miejscowej ludności, która także żyła w niedostatku. Nasilił się on znacznie z chwilą wybuchu wojny. Wpłynęła na to zarówno zmniejszona wydajność plonów w kolchozach, gdyż do pracy pozostały kobiety

i młodzież, a mężczyźni poszli na front, jak i to, iż władze administracyjne nie patrzyły, ile zostanie na wyżywienie ludności – najważniejsze, aby poszedł kontyngent na front. Ludzie mieli właściwie tyle, ile wynieśli w butach, za koszulą lub inaczej, chociaż każda kradzież mienia państwowego kosztowała długie lata więzienia. Jednak narażano się, bo głód był silniejszy.

Stosunek ludności tubylczej do Polaków nie był zły, czasem mówiono o nas: „ludzie nie ludzie – Polaki”, czasem przezywano nas jako dzieci, ale na ogół nie było większych antagonizmów. Ludność syberyjska w miarę pomagała i dzieliła się nieraz ostatnim kawałkiem chleba. Najlepszy dowód, że zostaliśmy w Sosnowce przyjęci przez tamtejszą rodzinę do kuchni, a wiadomo, że trzeba było mieć dobre serce, aby wziąć do swojego skromnego mieszkania sześciuosobową rodzinę. Dzieleno się nie tylko chlebem, ale nawet *machorką*. Wiem, że kiedyś nasza mama, która paliła papierosy i bardzo jej ich brakowało, gdy ofiarowano jej garstkę *machorki* podziękowała okrzykiem: „O, *pażalsta!*”. Okrzyk ten wywołał burzę śmiechu, a nasza mama w pierwszej chwili nie wiedziała o co chodzi i dopiero później zrozumiała, że użyła zamiast *spasiba* słowa *pażalsta*. Były to jednak pierwsze miesiące naszego pobytu w Rosji i stąd ta pomyłka, która świadczyła o tym, że nasza znajomość języka była dopiero w fazie wstępnej. Zresztą, nasza mama nawet po sześciu latach zbyt dobrze nie operowała językiem rosyjskim, czego natomiast nie można było powiedzieć o mnie i o moim rodzeństwie. Bardzo szybko i bardzo łatwo posługiwaliśmy się tym językiem, chociaż wiadomo, że w domu mówiło się po polsku.

Do szkoły rosyjskiej, o ile pamiętam, chodziłam z rodziny tylko ja, bo moje starsze rodzeństwo było już poza wiekiem szkolnym, a młodszy brat Edward był jeszcze za mały. Nie pamiętam, gdzie wówczas mieszkaliśmy, ale był to z całą pewnością rok 1941. Kojarzę to dlatego, że chodziłam do ruskiej szkoły bardzo krótko, a pamiętam, że było wtedy lato. Była jeszcze z nami siostra Alfreda, która późną jesienią 1941 r. włączyła się do organizującego się Wojska Polskiego w ZSRR (w dołączonym dokumencie z dnia 20 IX, wydanym przez NKWD w Szczerbaktach, siostra Alfreda już nie figuruje w spisie naszej rodziny – załącznik 2), a potem, w początkach 1942 r., poszła z wojskiem Andersa.

Z okresu kiedy chodziłam do ruskiej szkoły pamiętam niektóre fakty. Jeden związany był z zadaniem szkolnym. Mieliśmy napisać dziesięć słów rozpoczynających się na literę „f”. Akurat wywołano mnie do ich odczytania. Za zadanie otrzymałam ocenę *haraszo*, a nie *otliczno*, gdyż wtrąciłam słowo „firanka”. Potem nie mogłam zrozumieć, dlaczego to słowo tam nie pasowało i nie byłam do końca przekonana, że nauczycielka miała racje. Wiem również, że należałam do wyróżniających się uczniów. Wyróżniałam się nie tylko wśród dzieci polskich, ale i rosyjskich. Niemniej, zawsze bardzo się cieszyłam, gdy otrzymałam ocenę *haraszo*, chociaż w większości były to oceny *otliczno*. *Haraszo* znaczyło dla mnie jednoznacznie, że to jest ocena dobra, *otliczno* jako słowo nie miało dla mnie ani pozytywnego odbioru, ani pozytywnej akceptacji.

Następne skojarzenie ze szkołą ruską to zbiór arbuźów na polu kołchozowym. Była to jakaś akcja szkolna pomocy kołchozowi. Wiem również, że w trakcie tych zbiorów nauczycielka, pod której byłyśmy opieką, usilnie chciała nas przekonać, że nie ma Boga i najwyższą władzą jest Stalin i od niego w ogóle wszystko zależy, nawet to, że pada deszcz. Pamiętam, że wyraziłam wtedy swój bunt nie podnosząc ani jednego cukierka. Były one rozrzucane dzieciom przez nauczycielkę w dowód wszechobecnej mocy Stalina. Po zakończeniu pracy, a zbliżał się wieczór, wolno nam było wziąć do domu dowolną liczbę arbuźów. Myślę sobie, tyle arbuźów, a ja mogę udźwignąć tylko jeden. Co zrobić, by zabrać więcej? Zdjęłam z siebie sukienkę, zawiązałam na supeł i wrzuciłam trzy arbuzy. Cieszyłam się z tego pomysłu, ale krótko, bo przy pierwszym podniesieniu odczułam nadmierny ciężar, a droga daleka. Niosłam jednak wytrwale, mimo że było mi coraz ciężej. Zostawałam w tyle, nie mogłam sobie poradzić. Wiedziałam, że trzeba odrzucić przynajmniej jeden arbuź, ale przecież to taka zdobycz! Żał mi było, płakałam i próbowałam dźwigać dalej. Wreszcie, nie mogąc, wyrzuciłam jeden z arbuźów. Ulżyło, ale na krótko. Po chwili poczułam następny ciężar, który przerastał moje siły. I znów musiałam zrezygnować z następnego arbuza. A potem już ten jeden był dla mnie tak ciężki, że przez całą resztę drogi wyciskał z moich oczu łzy. Najgorszy był jednak ten ostatni etap drogi, kiedy całkiem opadłam z sił. Zapadł już zmrok, widziałam z oddali nasz dom, światełko w jego oknie, ale dojście tam wydawało mi się nie do osiągnięcia, zwłaszcza że droga prowadziła pod górkę. Ten odcinek drogi przeciągał się bardzo długo i chociaż nie pozostawił w pamięci śladu w szczegółach, niemniej pozostawił bardzo silny ślad w odczuciu czegoś obciążającego ponad siły. Ten ślad odbieram nieraz w snach jako coś toczącego się w stagnacji i bezsile, coś co bardzo męczy i nie chce posuwać się naprzód.

Kontynuując wspomnienia, chciałam podkreślić, że mimo, iż nic i nikt nie dawał nam gwarancji na powrót do kraju, przez okres sześciu lat traktowaliśmy nasz pobyt na Sybirze jako tymczasowy. Co więcej, żyliśmy cały czas nadzieją, że wrócimy do Polski. Byliśmy świadomi naszej polskości, obcości na tej ziemi i świadomi prawa do Polski. „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”. Te słowa naprawdę miały swój sens i poza „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Maryjo” były najważniejsze. A ponadto nie wiem, czy potrafilibyśmy przetrwać, gdyby nie wiara w Bożą Opatrzność.

Pamiętam, jak nasze starsze rodzeństwo uczyło mnie i brata Edwarda odmawiać: „Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu...”. Nie umieliśmy jeszcze dobrze pisać, ale psalm ten znaliśmy na pamięć wszyscy i w najcięższych godzinach zagrożeń odmawialiśmy go. Odmawialiśmy go, gdy nie mieliśmy co jeść, w co się ubrać, gdy wyły wilki pod naszą ziemianką, gdy szalał *buran*, tyfus, gdy zamierała nadzieja na przetrwanie. Tym psalmem również dziękowaliśmy za wszystko, za każdy kłosek, za każdy dzień przeżycia.

Pokrótce chciałam przedstawić naszą sytuację rodzinną na Sybirze. Otóż, tak jak wspomniałam, późną jesienią 1941 r. nasza najstarsza siostra Alfreda włączyła się do organizującego się Wojska Polskiego w ZSRR, a potem, już na początku 1942 r., z wojskiem Andersa przeszła cały szlak i tułaczkę losów tego wojska. Dołączam zdjęcie z tego okresu. Nie wiem gdzie to zdjęcie było robione i w którym roku. Wiem tylko, że był to szpital, w którym pełniła służbę pielęgniarki. W każdym razie był to szpital polski.

Mieliśmy także jej zdjęcie w mundurze, ale nie mogę go znaleźć. Zachowały się również listy, które pisała do nas na Sybir w czasie jej tułaczego życia. Są one w posiadaniu mojej siostry Aleksandry, która od 30 lat mieszka w Kanadzie. Pro-



Fotografia 4. Szpital polski, w którym siostra Alfreda służyła jako pielęgniarka

siłam ją o zrobienie ksero z tych listów, wówczas je udostępnię. Oddają one klimat i nastrój tego czasu oraz ogromny tragizm tułaczego życia narodu polskiego.

Niestety, nie mogę sięgnąć po osobiste wspomnienia siostry Alfredy, gdyż w wieku 31 lat zmarła nagle na wylew podpajęczny. Był to rok 1955, mieszkała wtedy w Kanadzie. Miała dwoje dzieci: 4-letniego syna Jurka i 9-miesięcznego syna Andrzeja. Wyszła za mąż za Polaka, Emila Drohomireckiego, prawnika z zawodu, którego poznała w wojsku. Było to jej drugie małżeństwo. Pierwsze skończyło się tragicznie. Wiesław Lewicki, również Polak, wykształcony przed wojną za granicą, jedynie w stopniu oficerskim i tak samo przebywający na emigracji, już wtedy w Anglii, nie mógł pogodzić się ze złym traktowaniem Polaków przez Anglików. W chwili jakiegoś stresu przeżytego w Londynie, w drodze do miejscowości, w której wówczas mieszkali, popełnił samobójstwo.

Moja siostra Alfreda będąc w Anglii, jeszcze przed wyjściem za mąż, ukończyła szkołę średnią i zdała maturę, o ile wiem, jako prymuska. Wydaje mi się, że zdawała maturę w języku angielskim, ale tego nie jestem pewna. Po wyjeździe siostry Alfredy nasza rodzina, pomniejszona o jedną osobę, liczyła pięć osób.

Sięgając pamięcią, jak również do listów, widzę, jak bardzo ciężko wszyscy pracowaliśmy, aby przeżyć każdy kolejny dzień. Pchaliśmy na siłę tę naszą „taczkę” życia, byle przeżyć dziś... Może jutro przyniesie wyzwolenie? Były nadzieje i rozczarowania, ale myśmy ciągle chcieli żyć.

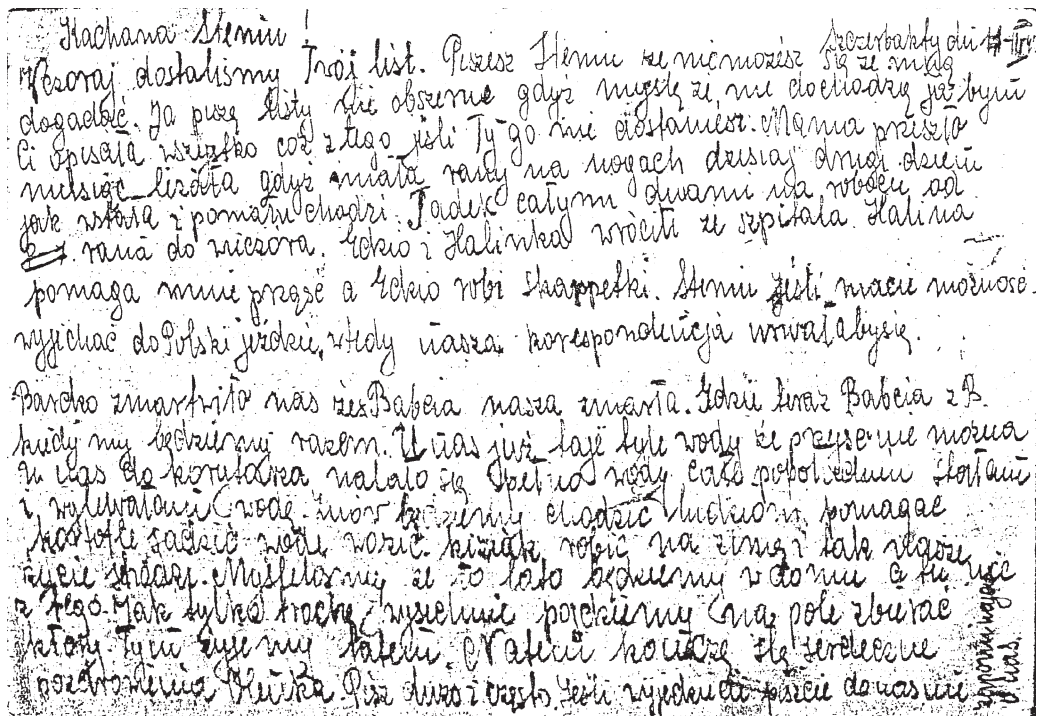
Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, gdy była mobilizacja, większość mężczyzn poszła na front. Kobiety i młodzież musieli podjąć pracę w kołchozach. Także moja siostra Aleksandra i brat Tadeusz zostali zabrani do pracy w kołchozie. Trwała ona od świtu do nocy. Do domu nie puszczano. Tam spali pokotem, jeden obok drugiego. Nie było pościeli, łóżek, postaniem była słoma. Mój brat Tadeusz był wątlwy i nie mógł wytrzymać rytmu tej pracy i któregoś dnia po prostu uciekł. Ucieczka nie chroniła jednak przed pracą w kołchozie. I wówczas Polak – Sybirak, nazwiskiem Rodziewicz, który był kierownikiem warsztatu szewskiego przy *Rajpotrepsjojuzie*, przygarnął Tadeusza jako ucznia. To uchroniło mojego brata przed pracą w kołchozie.

O tym, że Tadek pracował jako szewc, pozostały ślady w korespondencji. I tak w kartce pisanej przez siostrę Olę z 6 IV 1945 r. (data w oparciu o stempel pocztowy, gdyż na samej kartce data jest niewyraźna) znajduje się takie zdanie:

Tadek całym dniami na robocie od rana do wieczora...

A w moim liście z 30 V 1945 r. jest taka informacja:

...a Tadek pracuje szewcem...



ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА
CARTE POSTALE

Куда Ленинградская С. С. Р.
Наименование места, где находится почта, и области или края, а для станций - наименование станции

Инженерский р. - н.
Район, село или деревня

поч. Ленинградская ул. Алексеевская 1
Улица, № дома и квартиры

Кому Синявскому Венедикту
Подробное наименование адресата

ПИШИТЕ ПРАВИЛЬНЫЕ, ТОЧНЫЕ И РАЗБОРЧИВЫЕ АДРЕСА

Адрес отправления Таблицовская обл. Урюпинский р. - н.
Адресе с. Морданово ул. Советская Квартерная Астеркавская
de l'expéditeur

Załącznik 4. Kartka pisana przez Ołę (6 IV 1945 r.)

30 V 1945 r.

Kochana panama Stefko!!!

Wczoraj otrzymaliśmy trzy listy od Pani, i fotografie kucyki Janki z którymi serdecznie dziękujemy. Bardzo tymi listami ucieszyliśmy się. Tylko niemożemy rozpoznać kto to za dwie postacie obok Jani stoją. Ładko bardzo dostajemy listy od pani. Ja i Edzia chodząmy do szkoły Polskiej, a Olerka wieczorem chodzi na kursy siostry miłosierdzia a Tadasi pracuje szewcem a mamusia wiąże szarpety i Olutka dniem też pracuje i ja też pomagam pracować. U nas w tym roku w ma bardzo, wczesną i zima była okropnie ciężka bardzo było zimno okropnie były mrozy a teraz niedawno zrobiło się ciepło ale i to dniem i są chłodne. Dziś naszego Tatusia urodziny już tatuś nasz skończył 48 lat. Ciągnę ciuję.

Halina.

Załącznik 5. Mój list (30 V 1945 r.)

Mój list z dn. 31 VII 1945 r. podaje:

...Tadek pracuje wychodzi o godzinie 7 a przychodzi o godz. 5 godzina obiedniego przerwu...

Kochana pannko Sleso!! 1345/131
już dawno niebył listu od pani
a dziś pobiegłam do listonoszki
i pytam czy dla nas niema
listu a ona wyiąga mnie paczke
rozwinelismy a tam zeszyt
i trzy piura i pigotka do
atramentu, bardzo smy się
wcieszyl i bardzo dziekujemy
pani. Tadek pracuje wychodzi
o godzinie 7 a przychodzi o godz 5
godzina obiedniego przerwu
Olenska też pracuje ale w domu.

przedzie ~~zamiast tego~~
Mamusia wiąże to cwietry, to
ponozochy. A ja i Edek pomagamy
w domu i tak zlatują dnie
na syberji. Już nam bardzo
chciesz jechać do domu. my
mieszkaamy blisko kole
stacji jak tylko jedzie
pociąg to myslimy ze po nas
jedzie. Boosze pisac czesto
czesto bo my dostajemy bardzo
łatwo od pani listy. Cieszkam
co tuje * Adamiska Halina
Nami: Wobier to Halina pi... wystrasz są.

Załącznik 6. Mój list (31 VII 1945 r.)

Warto w tym miejscu dorzucić, że za tę pracę otrzymywał wynagrodzenie w wysokości 200 rubli, za co można było kupić 1 kg mąki.

Moja siostra Aleksandra, o ile dobrze pamiętam, w kołchozie przepracowała jeden sezon. Jej praca polegała na tym, że orała ziemię w zaprzęgu wołów, albo raczej krow. Krowy były zresztą wykorzystywane przede wszystkim jako siła pociągowa. Później pracowała w Promarteli. Załączam ksero zaświadczenia.

Справка
Дана Адамской Алек. Ж.
в этом, что она действительна работала при промартели Интернационал Павлодарской области
12 мая 1946 года
№ 0-49
4-05 1946
Бригадир [Signature]

Załącznik 7. Zaświadczenie o pracy Aleksandry w Promarteli

Również moja mama pracowała w Promarteli. Zaświadczenie nie zachowało się. Praca w Promarteli (myśmy mówili „Arteli”) polegała na pracy chałupniczej. Wyrabianie normy było tak trudne do zrealizowania, że musiała się do tego dołączyć cała rodzina. Przynosiło się z Arteli ogromne runa baranie, skubało na wełnę i przędło. Były one w różnych kolorach – srebrne, białe, czarne, niektóre bardzo puszyste, o długich włosach. W większości jednak były bardzo zanieczyszczone, z powklejonym baranym łajnem i innymi zanieczyszczeniami. Trzeba było to wszystko powyrywać, oczyścić i dać jako odpad do wagi. Oczyszczone runo skubało się na wełnę i przygotowywało do przędzenia.

Aby jednak można było, od czasu do czasu, z jakiegoś ładniejszego runa podkraść trochę wełny, zawsze po wyskubaniu, a przed przędzeniem, nawilżaliśmy wełnę. Umiałam to robić doskonale. Rozkładałam taką wełnę na podłodze, układałam w warstwy, a potem, nabierając wodę do ust, równomiernie skrapiałam. Następnie zwiјаłam w ścisły rulon i układałam gdzieś w rogu ziemianki, aby dobrze nawilgła. Najczęściej to spryskiwanie odbywało się wieczorem, a rano od razu przystępowaliśmy do przędzenia. Później, po sprzedaniu, bez zwłoki zanosilo się wełnę do Arteli. Trzeba było tak postępować, aby waga się zgadzała

i nam coś z tego zostało, bo jakie było wyjście? Przecież tylko dzięki tej podkrajonej wełnie mieliśmy coś do odzienia.

Z wełny robiliśmy wszystko – swetry, szale, skarpety, chusty, pończochy, majtki. To wszystko ubierało się „na cebulkę” – jedno na drugie, najczęściej na gołe ciało, bo przez tyle lat po bieliźnie nie było znaku. W tej wełnie zupełnie „ptasi raj” miały wszy, które w jej szwach znajdowały dla siebie najlepsze miejsce. Odbywały się rytualne „iskania”, na które w zasadzie poświęcona była niedziela. Ale i tak wszy nas jadły potężnie. Budząc się rano, zawsze mieliśmy czerwone paznokcie od zabijania tych największych. Od wszy nie można się było uchronić. Przecież przez tyle lat nie mieliśmy mydła ani żadnych innych środków czystości. Praliśmy w *szotku*. Był to zalewany wrzącą wodą popiół, odcedzony i dolewany do wody, w której się prało.

Wracając do naszej Arteli, ślad o pracy w niej znajdujemy w listach. W kartce z 6 V 1945 r. (załącznik 4) moja siostra pisze:

Halina pomaga mi prząść a Edzio robi skarpetki...

W liście z 31 VII 1945 r. (załącznik 6) ja piszę tak:

...Oleńka też pracuje w domu przędzie. Mamusia wiąże to cwetry, to pończochy. A ja i Edek pomagamy w domu...

Następnie mój list z 13 XI 1945 r., w którym na zakończenie piszę:

...Czeba kończyć, bo trzeba syczyć...

Tu jest błąd – powinno być „suczyć”, a nie, jak napisałam – „syczyć”.

*Kochana panno Stefo dnia 13 XI 45 r.
Kilka dni temu dostaliśmy od pani
twoj pocztówkę za które bardzo
dziękujemy. U nas już spadł śnieg
były już wielkie mrozy. A dzisiaj
mrozi wielkiego mienia tylko
wielki buran. My napewno
nie wyjdziemy. Zostaniemy
się na zimę. Czeba syczyć
bo czeba syczyć sycząm cacyje*

И мы, научившись немного за три и четыре года
Так сказал нам объективный ход развития революции.
миллионов людей к коммунизму. Так сказала нам жизнь.
мунизму, иначе вы не подведете десятки и десятки
питанием к социализму; иначе вы не подойдете к ком-
в мелко-крестьянской стране через государственные ка-
дильте построят сначала прочные мостки, ведущие
заняты ответственности, на хозяйственном расчёте потпу-
великой революции, на личном интересе, на личной
средственно, а при помощи энтузиазма, пожённого
переход к коммунизму. Не на энтузиазме непо-
готовить—работой долгие годы лет готовить—

Załącznik 8. Mój list (13 XI 1945 r.)

W liście, którego datę trudno odczytać, podaje:

...Mamusia z arcieli przyniosła nici czeba suczyć...

Na odwrocie tego listu moja siostra Ola usprawiedliwia moje błędy i pisze:

Kochana Steniu na pewno przerażają Cię błędy Haliny ale ona spieszy się bo ma robotę a po drugie coś się dziwić nie chodzi do szkoły skąd może umieć.

Kochana Steniu: Naprawdę prze-
cię błędy Haliny ale ona spieszy się
bo ma robotę a po drugie coś się dziwić
nie chodzi do szkoły skąd może umieć.

5-3-5
51

Załącznik 9. Druga strona mojego listu do Steni

Osobiście najbardziej pamiętam skubanie i przędzenie wełny. Mniej to, że przynosiliśmy wełnę do domu i robiliśmy z niej skarpety czy rękawiczki. Zanim zaczęliśmy z niej coś wyrabiać, trzeba ją było zwinąć podwójnie na kołowrotku (to się nazywało *suczyć*) i o tym *suczeniu* piszę dwukrotnie w podanych listach (załączniki 8 i 9). To, że mniej pamiętam wyrabianie skarpet i rękawiczek na drutach, może wypływać z tego, że właściwie najbardziej zawsze pracowałam przy oczyszczaniu run, skubaniu i przędzeniu wełny. Od przędzenia na kołowrotku miałam zawsze, zwłaszcza w zimie, poprzecierane palce do krwi. W lecie mniej zajmowałam się wełną. Wtedy moją główną czynnością było zbieranie kłosów i *kiziaka*.

Co do zapłaty za prace w Arteli, nie mogę nic na ten temat podać. Znając naszą nędzę, na pewno była to opłata niższa od jałmużny. Wiem, że ciągle zalegano z wypłatą. Coś tam nam zapłacono przy naszym wyjeździe do Polski. Pamiętam także, że w ostatnich latach (1945–1946) dostawaliśmy *pajoka* (przydział chleba z tytułu pracy w Arteli). Był to przydział głodowy, kromka chleba na osobę.

Wspomnień jest wiele i nie zawsze łatwo je uporządkować. Chciałam napisać o tym, co mnie zawsze bardzo zadziwiało. Otóż, właściwie na Sybirze, tam w Kazachstanie, nie bardzo odczuwaliśmy cztery pory roku. Raczej, w moim odczuciu, tylko zimę i lato.

Zimą były ogromne zasy śniegu, dorównujące nieraz wysokością dwu- lub trzypiętrowym budynkom. *Burany*, czyli śnieżne zamiecie, nie pozwalały na wyjście z domu, gdyż w zasięgu własnej ręki nie widziało się nic oprócz wirującego śniegu. Przy takich *buranach*, gdy ktoś wychodził z domu, brał do ręki linę. Później pociągało się nią, aby doprowadzić wracającego do domu. Wychodziło się na zewnątrz ziemianki po opał, wodę, aby zemleć na żarnach zboże lub w ogóle po to, co było konieczne do załatwienia. Takie *burany* trwały nieraz po kilka lub kilkanaście dni. W tej śnieżnej, mroźnej zimie znajdowała się nasza ziemianka. Wejście do niej było właściwie codziennie torowane. Zgarnięty śnieg tworzył po obu stronach jakby wysoki tunel, nie potrafiłam nieraz dopatrzeć się szczytu.

Budziliśmy się rano zupełnie zasypani i naszą pierwszą czynnością było odgarnianie śniegu. W czasie *buranu* lub silniejszych opadów, gdzie w zasadzie byliśmy zasypani śniegiem, musieliśmy również odkopać komin ziemianki. Odszukiwało się komin po wydrążonym lekko wgłębieniu, które wytworzyło się pod wpływem parcia dymu uchodzącego z palącego się ognia w piecu ziemianki. Odkopywanie kominów należało do najważniejszych czynności i w zasadzie kto pierwszy odkopał wyjście z ziemianki i swój komin, próbował odkopać komin sąsiadującej z nim ziemianki lub ziemianek.

Były też potężne mrozy, które wynosiły -40°C lub więcej. A gdy tylko zaświeciło wiosenne słońce, śnieg zaczynał się topić. Woda lała się wtedy potokami, strugami, ale to wszystko trwało krótko. O tych wiosennych roztopach pisze moja siostra Ola w liście z 6 IV 1945 r. (Załącznik 4):

...*U nas już taje tyle wody, że przejść nie można. U nas do korytarza nalalo się pełno wody całe popołudnie stałam i wylewałam wodę...*

Potem na oczach budząca się przyroda Kazachstanu – zieleń, słońce, muzyka ptasiego rajy i przepiękne stepy. Te stepy wspominam jako coś wspaniałego, cudownego, coś czego nie da się namalować, opisać, odtworzyć nawet w snach. Żaden rezerwat przyrody nie ma w sobie tyle piękna jak dziki, nieociosany ręką ludzką step, szumiący wysoką, wielobarwną trawą, pośród której rozkwitają kwiaty o niepowtarzalnych formach, kształtach i kolorycie. Cud natury, piękno świata – kojarzyło się to z wolnością. Ale wolna była tam tylko natura.

Pośród rozległych stepów Kazachstanu rozrzucone były kołchozy, a przy nich wioski zamieszkałe przez bardzo różną ludność. Wśród tej ludności dużą część stanowili Ukraińcy przybyli w okresie wielkiego głodu na Ukrainie. Było też sporo Kazachów ze swoimi patriarchalnymi tradycjami i wielożęństwem. Należeli oni do rasy mongolskiej i ponoć do XVII wieku władali tą częścią Kazachstanu. Do zwyczaju Kazachów należało między innymi picie herbaty. Pamiętam ich przyśpiewki:

Lublu, lublu mama czaj, lublu umieraju za taboj mamasza czaj w Taszkient ujeżdżaju

Bałam się Kazachów. Ich wygląd ani zachowanie nie budziły zaufania. Byli dzicy, często bezwzględni. Zarówno kobiety jak i mężczyźni mieli niski wzrost, małe skośne oczy i krzywe nogi (kiedyś była to rasa koczownicza jeżdżąca na koniach). Mężczyźni w zimie nosili futrzane czapki tzw. *małachaje*, a w lecie *rakszynki*, czyli małe czapeczki zakrywające głowę. Bogaci Kazachowie mieli *rakszynki* wyszywane. Mało urodziwe kobiety zaplatały sobie dużą ilość warkoczyków. Chodziły zarówno w spódnicach, jak i w spodniach, zwłaszcza w zimie. Nosiły też *chałaty*. Posługiwały się językiem kirgiskim, rosyjski natomiast znały dosyć słabo. Były izolowane od życia towarzyskiego, ich zadaniem było rodzić i wychowywać dzieci. Kazachowie wyznawali wiarę Mahometa. Mój lęk przed Kazachami był tym większy, że jeden z Kazachów upatrzył sobie moją siostrę Aleksandrę za żonę, ciągle ją nachodził, a w którymś momencie chciał ją nawet wykraść. Kazachowie mieli swoje odrębne wioski. Czasem chodziliśmy do nich z jakąś zamianą, by zdobyć trochę żywności. Poza zbożem otrzymywaliśmy też chyba mięso czy słoninę.

Opisana wyprawa po arbuzy była moją pierwszą, bardzo trudną próbą życia na Sybirze, ale to był dopiero początek. Później zaczęło się życie, w którym na co dzień musiałam razem z rodziną zdobywać wszystko co dało się zdobyć, począwszy od kłosa zboża aż po lebiodę. Zdobywało się zresztą nie tylko pokarm, ale również opał i odzież. Za opał służył piołun, łodygi słonecznika, *kiziak* i wreszcie *kuraj*. *Kuraj* zbierało się w rowach, po większym wietrze. Były to powyrywane kuliste krzewy, które jak kółeczka pędzone wiatrem wpadały do różnych zagłębień. Wchodziło się w te zagłębienia, udeptywało krzewy (prasowało), później zwijało jakby w rulony, kładło na taczkę i wiozło do ziemianki. Był to opał letni.

Trudniejszy do zdobycia był piołun, nie dlatego że go brakowało, ale dlatego, że trzeba go było wyrywać z ziemi. Chodziło przede wszystkim o taki piołun, który miał grubszą łodygę, a im grubsza łodyga, tym grubszy korzeń

i jednocześnie większa trudność przy wrywaniu. Był opałem letnim, a ten o grubszych łądogach gromadziło się na zimę. Układało się go na ścianie ziemianki, którą później przysypywał śnieg, obciążając i zabezpieczając przed warunkami atmosferycznymi. W zimie robiło się otwór w śniegu i tyczką, która miała na końcu ostry uchwyt, wyciągało piołun i przynosiło do ziemianki, w której – aby była znośna temperatura – trzeba było przez cały dzień utrzymywać ogień w piecu.

Podobnie przechowywało się łądygi słonecznika, które w zimie były doskonałym opałem. Kołchozowych pól słonecznikowych było bardzo dużo. Pamiętam piękne, dorodne słoneczniki o olbrzymich tarczach. Ich głowy unosiły się wysoko i pewnie na swoich łądogach, a kołysane wiatrem wyglądały jak morze o wschodzie słońca. Słonecznik był dla nas zakazanym owocem. Po zbiorze można było zebrać jakieś resztki, o ile nie przeszkodził w tym *objeszczyk*, czyli strażnik pilnujący na koniu pól kołchozowych. Często jednak, przeżywając ogromny lęk przed dotkliwymi sankcjami, wychodziliśmy w nocy, by jeszcze przed zbiorem wyciąć kilka dorodnych głów słonecznika. Ziarenka słonecznika, tzw. *siemuszki*, łagodziły głód. Umieliśmy je doskonale łuskać w zębach. Były to duże ziarna, nie spotkałam takich u nas w Polsce.

Najbardziej trwałym, poszukiwanym opałem był jednak *kiziak*, czyli łąjno krowie. Zbieraliśmy je na pastwiskach kołchozowych. Wychodziło się po niego o różnych porach dnia. Przy temperaturze 40°C i wyższej pilnowało się znalezione łąjno i tylko trochę wyschnięte wywracało na drugą stronę, by za chwilę, już całkiem wysuszone, włożyć do worka. „Dorodniejsze” *kiziaki* składało się w sterty. Gdy sterta była większa, zalewało się ją świeżym łąjnem i przechowywało na zimę.

Kiziak wyrabialiśmy również sami, w formach brykietowych, ze świeżego łąjna. Zdobywaliśmy je wychodząc z wiaderkiem w czasie wypędzania krów na pastwisko. Gdy tylko widzieliśmy, iż któraś z krów podnosi ogon, podbiegaliśmy, by podstawić wiaderko, bacznie uważając, aby wszystko dokładnie spadło spod krowiego ogona do wiaderka. Zdobyte świeże łąjno mieszało się ze źdźbłami trawy, wrzucało do zmoczonej formy, a po wyjęciu z niej, wysuszone, układało stopniowo w większe sterty, oblewając świeżym łąjnem. Jako dziecko, od początku do końca pobytu na Sybirze, nadzwigałam się *kiziaka* – zarówno w wiaderkach jak i w workach na plecach. Zresztą nie tylko *kiziaka*, ale o tym w dalszych wspomnieniach. Dźwiganie worków pozostawiło u mnie ślad w postaci wady postawy – wyraźnego przechylenia ramion ku przodowi.

Kiziak zbierał także mój młodszy brat Edward. Załączam jego list z 8 VIII 1945 r., w którym napisał:

...Najgorsze dla mnie to noszenie *kiziaku*. A najprzyjemszą to kiedy mam co jeść...

Mój brat miał wówczas 9 lat, a zbierał łąjno już od dawna. Warto zwrócić uwagę na zestawienie tego, co było dla niego najgorsze – zbieranie *kiziaku* –

oczy mam stare. Chodzę do
 pierwszej klasy mam trudności
 z tabliczką mnożenia.
 Łajno krowie dla mnie to noszenie
 kwiata. A najprzyjemniejsza
 to kiedy mam co jeść, na
 tym konie ~~to~~ naj-
 najserdeczniejsze powitania
 Edzio

Kochana siostrko! Także tutaj nie ma
 ciepła jak w domu. Właśnie tu jest
 gdzie teraz, Babcia z Kuba-
 szką tu nie ma dużo dlatego że
 zimno widać chodzą i wyciągają
 uszy i nosy i widać widać potoczą
 do miasta i nie boją się nikogo
 latem nawet chodzą w przeczonym
 roku, w jednej gospodni o godzinie 8
 rano rozewali, uciła, koto
 domu, siostrko, ciotko, koto
 Halina

Kochana siostrko! Stępo, 8 VIII 1945 r.
 Z dzisiaj dostaliśmy listy z listy od
 pani, jeden co pani pisata do pani
 Olenki a drugi do mnie za
 który widać nie dzieją się. U nas dziś
 jest chłodno jedzą deszcz, u nas
 już przelotko nadejdzie jesień.
 Teraz byliśmy na ogrodzie
 z Olenką cały dzień wleliśmy
 to bardzo był zarosnięty przez 30
 07 godzinie, ogrody nasze 6 kilon-
 z Szerebakt, aby zejemy z dnia na
 dzień czekamy wyjazdu napierw
 do zimny wyjeżdżemy. Może na
 z Babi, narodzenie będziemy
 mieć tylko naj gorzej że nie ma
 żadnej wiadomości od Janki
 i od Babi, szkoda mi nie tylko
 Babi z Krenna, ja w Babi z K
 Krenna byłam wrok cały, nie wiadomo

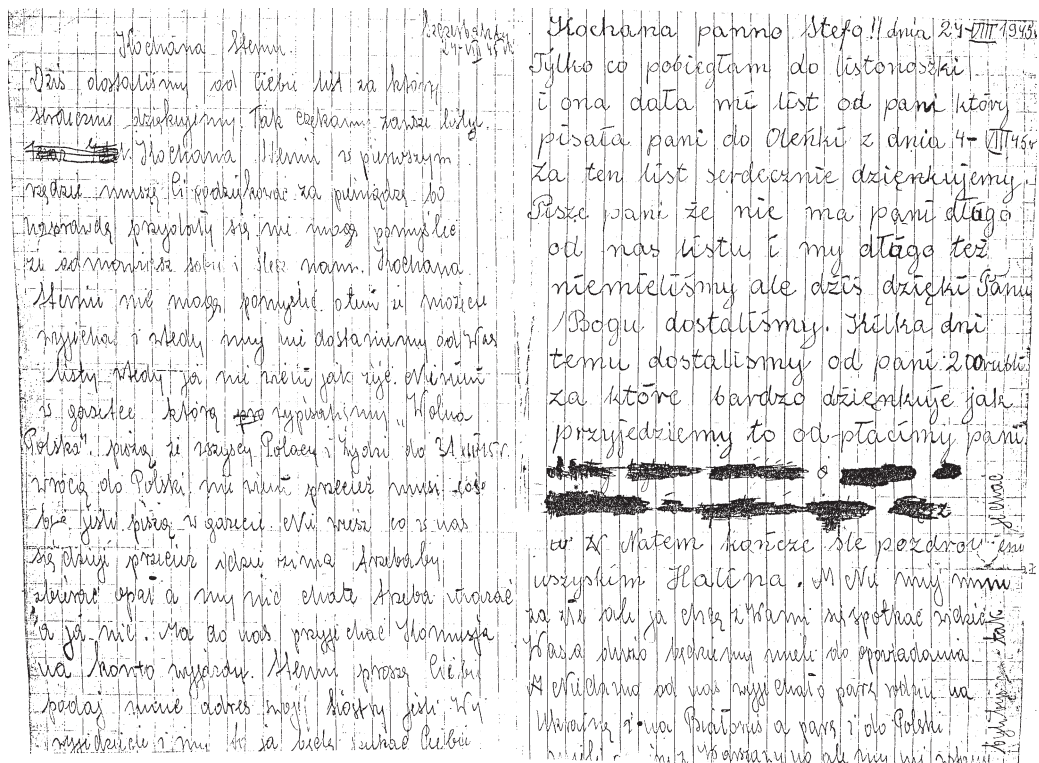
Załącznik 10. List Edwarda i mój (8 VIII 1945 r.)

z tym, co najprzyjemniejsze – gdy miał co jeść. Nietrudno odczytać z tego, że najczęściej jedzenia brakowało.

Łajno krowie na Sybirze miało wiele zastosowań. Było ono również materiałem budowlanym, do budowy lepiank. Ten materiał „budowlany”, podobnie jak kiziak, wyrabiano się w formach. Jednak podczas gdy w kiziaku domieszka była sucha trawa, tutaj mieszało się glinę, a łajno było raczej dodatkiem. Ściany takiej lepianki od zewnątrz i wewnątrz również były smarowane oraz zabezpieczane domieszka, która zawierała krowie łajno. Takie samo zabezpieczenie, tzw. „mazanie” chat, było w ziemiankach. O „mazaniu” pisze moja siostra – Ola, w liście z 24 VIII 1945 r.:

...chatę trzeba mazać, a ja nie...

Podobnie podłogi, zarówno w lepiankach jak i w ziemiankach, klepisko miały zabezpieczane mieszaniną gliny z łajnem. Ściany wewnątrz pomieszczeń malowano kredą. Lepianka od ziemianki różni się tym, że ta pierwsza jest właściwie prymitywnym domkiem, zbudowanym ze ścian, który ma okna i zadaszenie. Natomiast ziemianka to tunel wydrążony w ziemi i tylko na zewnątrz przykryty dachem. Krokwie dachu były z drewna albo piołunu, a reszta zadaszenia upleciona z łądy słonecznika i zalana mieszaniną gliny oraz krowiego łajna. Konstrukcja zadaszenia w lepiankach wyglądała podobnie. Ściany ziemianki były



Załącznik 11. List Aleksandry (24 VIII 1945 r.)

wewnątrz ziemi. Dostęp na zewnątrz miała przez drzwi otwierane do środka oraz jedno okno, które było przeciwległe do wejścia i tylnego zejścia się zadaszenia z ziemią. My, o ile pamiętam, w Orłówce i Sosnowce mieszkaliśmy w lepiankach, natomiast w Szczerbaktach mieliśmy ziemianki. Prawdopodobnie wynajmowaliśmy zarówno lepianki, jak i ziemianki, bo nie pamiętamy, abysmy sami przykładali się do ich budowy.

Wcześniej wspomniałam, że nasze życie na Sybirze było życiem z dnia na dzień. Z dnia na dzień również wyczekiwaliśmy na wyjazd do Polski. Znamienne są słowa z mojego listu z 31 VII 1945 r. (załącznik 6):

...Już nam bardzo chcecie jechać do domu my mieszkamy blisko koło stacji jak jedzie pociąg to myślimy że po nas jedzie...

Kolejny list z 8 VIII 1945 r. (załącznik 10):

...My żyjemy z dnia na dzień czekamy wyjazdu napewno do zimy wyjedziemy...

Moja siostra Aleksandra, w liście z 30 V 1945 r. (załącznik 5), pisze:

...My tylko ludzimy się wyjazdem o zimie nie mogę myśleć. Mamy do sprzedania ostatnie pantofle jedyno co zostało przy nas czy można zimę przeżyć...

W liście z 24 VIII 1945 r. (załącznik 11) moja siostra wyraża swój niepokój, a jednocześnie nadzieję na nasz wyjazd do Polski:

...Nie wiem w gazetce którą wypisaliśmy «Wolna Polska» piszą, że wszyscy Polacy i Żydzi do 31 XII 1945 r. wrócą do Polski, nie wiem przecież musi coś być jeśli piszą w gazetce. Nie wiesz co u nas się dzieje przecież idzie zima trzeba zbierać opał a my nic chacie trzeba mazać a ja nic...

Dołączam ksero zaświadczenia opłaty za prenumeratę wyżej wspomnianej gazetki „Wolna Polska”.

ИЗДАНИЕ		Всесоюзная подписка		194 г.																	
СССР		СССР		194 г.																	
12/17		194 г.																			
ПРИНЯТА ПОДПИСКА НА:		Газета		Журнал		Вольна Польша															
Газета		Журнал		КВИТАЦИЯ		Почт. вкл.		Место		Сумма											
на 12 руб. — коп. —		ДЗ 05519		Куда		Место вкл. вкл.		12													
ПОДПИСКУ И ДЕНЬГИ		Саймон Родзин		Кому																	
ПРИНЯЛ		Подпись		Адамска Халина																	

Załącznik 12. Ksero zaświadczenia opłaty za prenumeratę gazetki „Wolna Polska”

Kochana panno Stefo dnia 20 X 1945
 I że tak długo niemo od pani
 listy aż smutno jak niemo
 nie od pani. My zostajemy
 się na zime tutaj. Niejedziemy
 na Boże Narodzenie będziemy
 tutaj. U nas już wielki naróz
 i dużo już śniegu. Edzio
 niechodzi do szkoły i ja
 « koe nie opieręce i idę do
 szkoły a natym wonec
 albo ceba iść do szkoły
 dośkam całygo rozdowienie
 wszystkim Halina.

Załącznik 13. Mój list (20 XI 1945 r.)

Moje listy dalej informują, jak ma się sprawa z wyjazdem do Polski. Pierwszy, z 13 X 1945 r. (załącznik 8), zawiera takie zdanie:

...My napewno nie wyjedziemy. Zostaniemy się na zime...

Drugi, z 20 XI 1945 r. (załącznik 13), zamyka nasze oczekiwanie:

...My zostajemy się na zime tutaj nie jedziemy na Boże Narodzenie będziemy tutaj...

To, jak wyglądało nasze życie, obrazuje bardzo dokładnie list mojej siostry z 6 IV 1945 r. (załącznik 4):

...Znów będziemy chodzić ludziom pomagać kartofle sadzić wodę wozic kiziak robić na zime i tak nasze życie schodzi. Myśleliśmy że to lato będziemy w domu a tu nic z tego. Jak tylko trochę wyschnie pójdziemy na pole zbierać kłosy. Tym żyjemy latem...

Czerbak, dnia 28. II. 1954.

Kochana Panno Stefko!

Ja osmielam się choć nie mam do Waszkiła
stosunku napisar, chciało by się dużo pisać, ale mam
tak nerwy rozczarowane. Co mi jak mi straci sa.
ma jestem akora, strasnie mam wamy na nogach
migdał się nie mogą wysię, wily, cokolwiek do-
dy

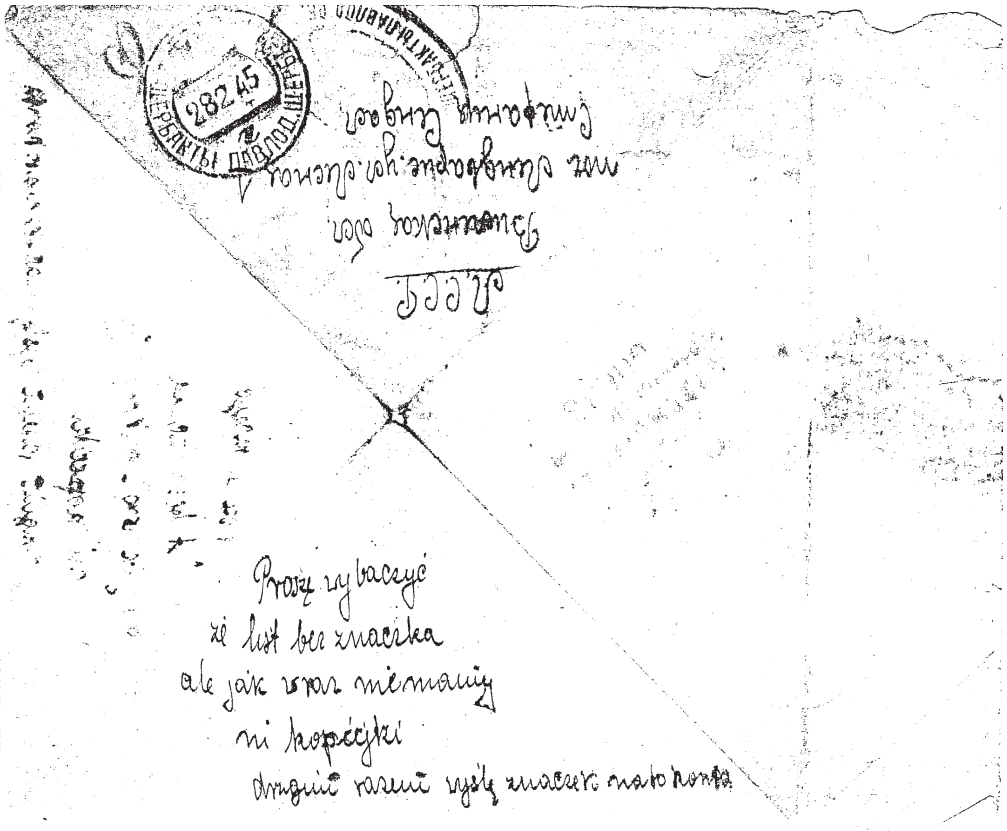


Bardzo się martwi o swoje
khalta; jak i gdzie ona obierze się, tak samo nie
pewnego niemiernie o moim jak byle, że jestem
odsłonięta i wszystkie geny w rozrywali, tak
że może nadszedł się ma nowa żyje, kiedy już jak.
ty, przychodzą tego pisał, byle, że nie walczyli, woli
ona, niestety na siebie, narobił. Długo wazyleh
co byli warim a nani już do w domu, a my
niechyl i nasz rodzinie, bardzo lubo mi i stura-
kierowcy, że nam stali, boch, że nani a wararem
po prostu, że nado, moją pisanine, dem serdosi-
ni, postawim, mi, takis, dla, Kłósów, postawim, serdosi-

Załącznik 14. List mojej mamy (28 XI 1945 r.)

I właśnie chyba wtedy, niewiele dni po napisaniu tego listu, ruszyliśmy w poszukiwaniu kłósów. Starszy brat Tadeusz pracował wtedy jako szewc, młodszy był asekurowany, bo był najmłodszy, a moja mama załamała się psychicznie i nie przejawiała prawie żadnej inicjatywy. Śnieg jeszcze nie stopniał w całości, więc było mokro i miejscami utrzymywała się warstwa lodu.

Droga była uciążliwa. Wpadałyśmy w błoto albo wodę, zwłaszcza wtedy, gdy pękała pod naszymi nogami cienka warstwa lodu. Nie zważałyśmy na nic.



Fotografia 5. Koperta

Szłyśmy, bo nadzieja na przyniesienie kłosów była ponad wszystko – ponad wszystko była potrzeba zaspokojenia głodu. Byłyśmy bardzo słabe. Patrzyłyśmy na siebie i płakałyśmy z litości nad sobą. Moja siostra dobrze się mną opiekowała. Resztkami sił mnie przenosiła, gdy trzeba było pokonać jakąś większą przeszkodę, wodę lub błoto.

I tak oto dotarłyśmy na pole kołchozowe – na „pokłosie”. Widziałyśmy kłosa, ale trzeba było wrywać je z lodu. Tak też robiłyśmy. Pierwsze kłosa wyzwoliły naszą niemoc. Miałyśmy co jeść. Nie wkładałyśmy pierwszych kłosów do woreczka, ale raczyłyśmy się nimi. Czuliśmy ich smak. Boże! Jakie one smaczne. Cieszyłyśmy się nimi. Nie groziła nam już śmierć głodowa!

Po tej uczcie spieszyłyśmy się, by do naszego woreczka coś przybywało. Przecież w domu czekają na nas i na nasze kłosa. Czasem udało nam się znaleźć kłosek wyzwolony z lodu, ale najczęściej wrywałyśmy je spod spodu. Otrzepywałyśmy je i układałyśmy w rękę w pęczek. Każdy pęczek, zanim trafił do woreczka, musiał być oczyszczony z niepotrzebnej słomy. Przy kłosach suchych nie

sprawiało to kłopotu. Lekko odkręcało się go dookoła i niepotrzebna słoma odpadała. Przy mokrych kłosach był dodatkowy kłopot. Ale i tak sobie radziłyśmy. Cieszyłyśmy się już z prawie pełnego woreczka, a oto w pewnej chwili, zupełnie nieoczekiwanie, staje nad nami *objeszczyk* na koniu. Co najgorsze, wyrwa nam z rąk uzbierany z takim trudem i z takimi nadziejami woreczek kłosów, po czym wysypuje go i daje koniowi do pożarcia. Nie wytrzymałam tego psychicznie. Podbiegłam i zgarnęłam kłoski do siebie. Ale w tym momencie poczułam silne kopnięcie. Odrzuciło mnie na pewną odległość. Moja siostra podbiegła, by pomóc mi wstać. Gdy nasze kłosy były już zeżarte, stratowane i gdy *objeszczyk* już odjechał, postanowiłyśmy pozostać i na nowo ich nazbierać. Przecież nie wrócimy z pustym workiem.

Gdy już uzbierałyśmy zapadł zmrok, a my nic nie widziałyśmy, bo miałyśmy „kurzą ślepotę”. Na dodatek coraz bardziej się bałyśmy, bo wszędzie słyśmy rozchodzące się śpiewy Inguszów. Był to dziki naród przywieziony z południowego Kaukazu na Sybir w roku 1943 za sprzeniewierzenie się Sowietom w czasie ofensywy niemieckiej i za chęć uzyskania suwerenności. Naród ten był zwołany na wiec przez NKWD. Później, „tak jak stał” w swoich osiedlach i miejscowościach, został załadowany i wywieziony na Sybir. Gdy ich przywieziono, w dużej części powymarzali, bo byli zupełnie nieprzystosowani do warunków, jakie zastali. Na Sybirze była wtedy pełnia zimy, a oni przyodziani w większości w treпки i letnie odzienie. Niektórzy bogatsi mieli karakułowe czapki i dużo złotych zębów, biedniejsi – czapki z kozuchów lub z jakiegoś sukna. Nosili tuzurki do kolan, spodnie często wyszywane. Niektórzy mieli wcięte płaszcze, a przy nich długie pętle, na około 20 cm. Pamiętam, że mężczyźni nosili pasy, przy których było dużo brzęczących metali. Wyznawali wiarę mahometańską. Ich śpiewy wieczorne należały do rytuału wyznawanej religii. Podczas wschodu i zachodu słońca składali pokłon sułtański, niezależnie od tego, gdzie się znajdowali. Nosili dzbany i mieli swoje rytualne obmywanie. Umarłych grzebali na siedząco.

Gdy ich przywieziono, litowaliśmy się nad nimi i dzieliliśmy się tym, co mieliśmy. Nie mniej jednak, bezpieczniej było trzymać się od nich z daleka, bo byli dzicy i bezwzględni. Kradli wszystko, co wpadło im ręce. Rozebrali nawet naszą prymitywną latrynę, którą zrobiliśmy sobie za naszą ziemianką. Upleciona była z piołunu i łądyg słonecznika. Zniknęła którejś nocy.

Znając naszych „Czeczenców”, bo i tak ich nazywano, tracąc orientację, w którym kierunku powinnyśmy wracać, co było spowodowane kurzą ślepotą i ogromnym lękiem, długo błądziłyśmy po stepie, głośno odmawiając „Kto się w opiekę...”. Do naszej ziemianki wróciłyśmy późną nocą. Pamiętam do dziś rozbudzony i badawczy wzrok naszego brata Edwarda, który dostrzegając kłoski niezmiernie się ucieszył, bo wreszcie spotka go coś, co jest „najprzyjemsze” (jego list jako załącznik 10).

...A najprzyjemsze to kiedy mam co jeść...

Warto w tym miejscu wspomnieć, że mój brat Edward, gdy chciał się czymś pochwalić, mówił o jedzeniu. Kiedyś podsłuchałam taką rozmowę i trochę później podśmiewałam się z niego, bo chwalił się kolegom, że jego tata jest taki dobry. Dawał mu chleb posmarowany smalcem i na ten smalec jeszcze sypał cukier! Trzeba było najpierw przeżyć głód taki, jaki my przeżywaliśmy, żeby wiedzieć co znaczy chleb ze smalcem, a do tego jeszcze posypany cukrem.

Zbieranie kłosów było naszym podstawowym środkiem utrzymania w czasie lata przez cały okres pobytu na Sybirze. Dziwnie, że podczas całego lata, ale po prostu nie wszystkie pola kołchozowe były w całości obsiewane. Wiele pól „pokłosowych” z poprzedniego roku leżało ugorem i z tych właśnie leżących ugorem pól zbierało się kłosa, aż do zniw. Dopiero później z pól uprawianych. I tak do samej jesieni. Wychodząc na kłosa, szło się najczęściej kilkanaście kilometrów. Nieraz przemierzało się kilka takich pól. Na jednym uzbierało się kilka pęczków, na drugim znowu kilka i tak do skutku.

Zbieranie kłosów nie było karane, ale mocno utrudniane. Gdy *objeszczyk* przyłapał na zbieraniu kłosów, zabierał je i dawał koniowi do pożarcia albo podpalał gdy miał taką ochotę. Dlatego podczas zbierania większy worek chowaliśmy przeważnie w pewnej odległości, a przy sobie mieliśmy mały woreczek, który co jakiś czas był wypróżniany do worka ukrytego. Chociaż i to nie było takie łatwe, gdyż *objeszczyk* siedząc na koniu, z wysokości widział przed sobą znaczną przestrzeń.

Na słowo *objeszczyk* momentalnie zrywaliśmy się do ucieczki. Uciekaliśmy nawet wtedy, gdy ktoś zawołał tak dla żartu lub odprężenia. Często, aby ludziom umilić życie, podpalano pole „pokłosowe”. Wówczas zbieraliśmy mniej spalone kłosa i po wyłuskaniu jedliśmy prażoną pszenicę na surowo. Oprócz pszenicy zbieraliśmy proso. Pól obsianych prosem było dużo. Każdy kłos prosa to piękna kiść uginająca się pod ciężarem ziarna. Czasem wystarczyło znaleźć kilka lub kilkanaście takich kiści, aby mieć 2–3 kg dorodnego prosa. Trzeba było bardzo umiejętnie zebrać je z ziemi, bo często były w nią wtłoczone, a chodziło o to, by nie wykruszyć ich przy wyciąganiu ziarenek.

Kłosa zbieraliśmy przeważnie w grupie kilkuosobowej, trzymając się jako Polacy razem. Często dołączali do nas Rosjanie, ale raczej wtedy, gdy spotkaliśmy się w drodze albo podczas zbierania kłosów. Najlepiej pamiętam Stefana Wywiśla z jego *ugadałoczną pałoczką*. Na Sybirze przebywał z matką i dwoma starszymi braćmi, którzy, podobnie jak moja siostra Alfreda, dołączyli do organizującego się na terenie ZSRR Wojska Polskiego, a później do wojska Andersa. Stefan Wywiśla miał duże poczucie humoru. Nosił ze sobą zwyczajny kijek, który na początku „wyprawy” po kłosa wystawiał zawsze jako kierunkowskaz dobrego zbioru.

Stefan *Ugadałoczną Pałoczką*, oprócz poczucia humoru miał także dobre serce. Gdy widział, że jestem już bardzo zmęczona lub może dlatego, że byłam wątła i mała, pomagał mi dźwigać mój worek. Brak siły był u mnie wynikiem wychodzenia z domu wcześniej rano, bez zjedzenia śniadania i bez zabrania ze

sobą jedzenia. Na Sybirze jadło się dopiero wtedy, gdy przyniosło się zebrane kłosy, umłóciło, zmięło i coś z tej mąki ugotowało lub upiekło. Gdy było to proso, trzeba było je ubić w *stypie*. Kaszę gotowało się, a łuski mieszało z obierkami ziemniaków i robiło się *lepioszki*. Piekło się je przeważnie na blaszce rozgrzanego pieca.

Zresztą, przez cały okres pobytu na Sybirze, „luksus” jedzenia był wtedy, gdy jadło się raz dziennie. Często były dni, że nie jadło się nic. Najczęściej było tak w zimie i wczesną wiosną. Latem, gdy nie było nic innego, można było zbierać lebiędę i po zasypaniu ją jakimiś otrębami, wlać do żołądka. Głód łagodziło się również podjadając pszenicę, którą kruszyło się z kłosów. Raz garstkę zboża wrzuciło się do ust, potem znów następną. Gdy chciało się pić, przykładano się usta do jakiejś kałuży. Czasem docierało się do jakiegoś kołchozu i piło z koryta razem z krowami. O dziwo, nikt nigdy nie miał zatrucia pokarmowego.

Z naszej rodziny na kłosy chodziłyśmy przeważnie we dwie. Ola mogła chodzić ze mną, bo w Arteli nie miała ustalonych godzin pracy. Najważniejsze, aby wyrobiła normę. Gdy Ola pracowała w kołchozie, na kłosy chodziłam sama.

Gdy wychodziłyśmy na kłosy, wracałyśmy do domu po południu albo późnym popołudniem, nieraz nawet wieczorem. Czasem jednak szłyśmy po kłosy bardzo daleko, na 2–3 dni. Spałyśmy zazwyczaj gdzieś na wsi w stodole. Pamiętam, jak budząc się, zobaczyłam kiedyś nad sobą cielaka, który tuż obok mnie załatwiał swoje „grubsze potrzeby”. Czasem udało nam się przespać z kołchoźnikami i coś tam razem z nimi zjeść ze wspólnej miski. A te codzienne kłosy, chociaż nie zawsze udało się coś zbierać, bo było i tak, że się nic nie trafiło, młóciło się w domu i na wietrze oczyszczało z plew. Resztę wydmuchiwało w rękach, a potem niosło do kogoś na żarna. Wreszcie mąkę, ewentualnie proso ubite w *stypie*, owoc tyłu zabiegów, przynosiło się do domu i przyrządzało z niej jakąś strawę. Sama się dziwie, ile miałam siły i odporności jako dziecko. Bo przeważnie tyle nachodziłam się po stepie, aby coś zbierać, a potem wspólnie z siostrą, albo czasem przy pomocy braci Edka lub Tadka, jeśli wrócił z swojej pracy – wymłócić, oczyścić i nierzadko jeszcze zmleć lub utłuc. I jeszcze nieraz wybiegałam, aby choć trochę pobawić się z dziećmi. Skąd brało się tyle siły? A przecież pomagałam jeszcze przy wełnie, bo trzeba było wyrobić normę. A gdy mocno zalegałyśmy z normą, Ola musiała ją podgonić, a ja zmuszona byłam iść po kłosy sama i wtedy musiałam nazbierać za nas obie.

Było i tak, że kłosy porosły, albo trudno było znaleźć pole pokłosowe z kłosami. Wówczas szukaliśmy „samosiejki”, tzn. takich kłosów, które gdzieś w trawie, na jakimś ugorze, same się zasiały i same wyrosły. Takie kłosy wycinaliśmy, a to już było karalne i zupełnie niedozwolone, graniczyło z kradzieżą mienia państwowego. Jednak ścinaliśmy takie kłosy, zawsze z wielkim strachem. Ale jakie było wyjście, gdy dokuczał głód?

Pamiętam dramatyczne zajście, które spotkało mnie właśnie przy ścinaniu „samosiejki”. Niewiele miałam przy sobie ściętych kłosów, ale złapał mnie *objeszczyk* na gorącym uczynku, właśnie gdy dochodziłam, by ściąg dojrzały kłosek. Galopem dopadł do mnie, wychłostał biczem, którym posługiwał się poganiając konia, a potem pędził siedząc na koniu do *Selsowietu* (urząd gminy kołchozu, do którego to pole należało), aby tam poddać mnie pod sąd za moje „przestępstwo”. Musiałam przez całą drogę biec klusem za koniem i nie wolno mi było zostawać w tyle. Biegłam, bo inaczej dosięgał mnie bicz *objeszczyka*.

Gdy wreszcie stanęłam przed sądem *Selsowietu* z moim woreczkiem, w którym nawet do połowy nie było kłosów, byłam już u kresu sił i czułam się jak kawałek drewna. Nie potrafiłam już ani płakać, ani cokolwiek odczuwać. Przestałam już nawet czegokolwiek się bać. Widząc mnie w takim stanie, popatrzono na mnie z litością i puszczono do domu, pozwalając mi nawet zabrać ze sobą moje kłoski. Trafiłam najwidoczniej na jakiegoś dobrego człowieka, bo w zasadzie za ścinanie „samosiejki” karano surowo.

W krytycznych momentach posuwaliśmy się nawet do tego, że wychodziliśmy nocą i ścinaliśmy zboże kołchozowe. Było to jednak ogromne ryzyko, gdyż za ścinanie zboża kołchozowego dostawało się wyrok 10 lat więzienia. Pamiętam jednak dobrze, jak pewnej nocy razem z dwoma siostrami, które z matką, panią Wrzosową, były tak samo jak my wywiezione na Sybir, poszliśmy ścinać zboże kołchozowe.

Wiem, że było to w Szczerbaktach, bo pole kołchozowe z kłosami przylegało do torów kolejowych i od czasu do czasu przejeżdżały tam pociągi. Ścinając zboże, poruszałyśmy się bardzo cicho, słyszałyśmy każdy szelest, każdy niemal nasz oddech. Musiałyśmy dobrze rozróżniać i wychwytywać dochodzący szum lub dźwięk, aby uznać czy to jest stuk pochodzący z nadjeżdżającego pociągu, czy też stuk kopyt końskich. Świadomość ryzyka wyzwalała we mnie ogromny lęk. Wiem, że ze strachu dostałam rozstroju żołądka i co chwila „siadałam” z powodu nagłej i silnej biegunki. W rezultacie udało nam się przynieść wiązkę kłosów, niemniej przyniesienie tego zboża ściągnęło na nas strach, gdyż zostawiłyśmy za sobą ślad, który ściągnął na nas podejrzenie. Na szczęście umieliśmy zatrzeć ten ślad, wynosząc ścięte kłosa poza obręb ziemianki.

Chciałam jeszcze dorzucić, że przez całe lato chodziliśmy boso. Z tego chodzenia boso mieliśmy bardzo mocno popękane pięty, popękane do krwi. Te popękania dawały o sobie znać szczególnie przy chodzeniu po polach pokłosowych. Każde stąpienie po rżysku wyciskało z oczu łzy bólu, zwłaszcza gdy jakaś ostra słoma lub trawa wcisnęła się w te popękane szpary na piętach. W zimie natomiast mieliśmy notorycznie podmrażane nogi. Dawało to znać o sobie zwłaszcza wieczorem i w nocy. Nogi rozgrzane bardzo swędziały. Do dnia dzisiejszego pozostała mi ta „zaszłość”, która objawia się tym, że gdy w zimie w ciągu dnia marzną mi nogi, wieczorem odczuwam swędzenie nóg jak na Sybirze. Podmrażane zresztą nieraz były też ręce. O to nie było trudno, zwłaszcza że po wszystko

wychodziło się poza obręb ziemianki, a na co dzień po opał i wodę. Do dziś widzę studnie okute lodem, czasem tak zakute, że trzeba było długo tłuc lód, aby wpuścić wiaderko do nabrania wody.

Wodę nosiliśmy lub woziliśmy również zarobkowo (załącznik 4). Utrwaliło się też w mojej pamięci to, iż latem roku 1940 oboje z bratem Edwardem chorowaliśmy na czerwonkę. Mieliśmy krwawe biegunki. Byliśmy wówczas bardzo słabi. Później jakoś to samoistnie ustąpiło, bez żadnego leczenia. Ponadto, mój brat Edward bardzo często na Sybirze chorował na zapalenie uszu. Płakał, zwłaszcza po nocach. Moja siostra Ola ratowała go przykładając do jego bolących uszu rozgrzane na piecu przykrywki. Na tym polegało całe leczenie. Wszystkie zresztą choroby musieliśmy samoistnie zwalczać. Moja mama, gdy tylko przyjechaliśmy na Sybir, zachorowała na gruźlicę, która nieleczona sama się zaleczyła. Ratowało nas chyba nieskażone syberyjskie powietrze, które było lekarstwem na wszystko.

Pamiętam także i to, że chyba w środku naszego pobytu na Sybirze jakiś czas pasłam prywatne krowy. Ludność syberyjska miała po jednej, czasem po dwie krowy. Wiem, że za to pasanie dostawaliśmy od każdej krowy pół litra mleka. Chodziliśmy wieczorem po gospodarzach z naczyniem i każdy wlewał nam do niego naszą dolę. To było pyszne mleko! Nie pamiętam, ile było tych krów, chyba 10–12. Nie pamiętam jak długo pasłam te krowy, ale na pewno niezbyt długo, dlatego że w czasie tego pasania miałam bardzo przykre zajście. Pasając krowy, musiałam przede wszystkim uważać, by nie weszły w zboże kołchozowe. Pewnego razu gdy pilnowałam te krowy, zebrały się na niebie ogromne, ciemne chmury, zerwał się silny wiatr i zaczął padać grad wielkości gołębiego jaja. Grad był bardzo gęsty. Uderzenia gradu zwały mnie z nóg i doprowadziły do tego, że straciłam przytomność. Leżałam nieprzytomna do momentu znalezienia mnie przez moje rodzeństwo. Gdy przyniesiono mnie do domu, drżałam z zimna, a jeszcze bardziej ze strachu. Odtąd już więcej krów nie pasalam. Moje rodzeństwo, po zostawieniu mnie w domu, musiało się długo nabiegać, aby znaleźć pasione przeze mnie krowy, które gnane wiatrem i gradem poszły daleko w step i tam, gdy już uspokoiła się natura, swobodnie się pasły. Jedna z krów weszła wprawdzie na pole kołchozowe w kłosa, jednak na szczęście nikt tego nie zauważył. W innym wypadku byłaby za to ogromna kara, bo to przecież „mienie państwowe”.

Podobne gradobicie spotkało nas na naszym ogródku. O tym, że mieliśmy ogródek, jest wzmianka w moim liście z 8 VIII 1945 r. (załącznik 10):

...Wczoraj byliśmy na ogrodzie z Oleńką i cały dzień pieliliśmy, bo bardzo był zarośnięty. Przyszliśmy o 7 godzinie, a ogrody nasze są 6 kilometrów z Szczerbakt...

Pamiętam szczególnie to, że w tym ogródku mieliśmy ziemniaki i *paślon*. Tym ziemniakom nie dawaliśmy nigdy dorosnąć do końca, bo gdy tylko zauważyliśmy pęknięcie ziemi pod krzakiem, zaraz wiedzieliśmy, że tam jest ziemniak i wyciągaliśmy go, bo przecież każdy ziemniaczek był zawsze tak bardzo potrzebny. *Paślon* to były takie owoce podobne wielkością i wyglądem

do naszych czarnych jagód. Rosły na krzakach zbliżonych wyglądem i wielkością do krzaków ziemniaka. *Pašlon* miał dość dużo jagód na swoich krzakach i stanowił jedyny owoc obok arbuzów, które również uprawialiśmy na swoim ogródku. Był to jednak mały ogródek, krzaczków *pašlonu* zaledwie kilka, arbuzów też niewiele. Także nawet w nikłym procencie nie zaspakajał naszych potrzeb żywieniowych.

Wracając do gradobicia na ogródku. Otóż trwało ono wyjątkowo bardzo długo. Zaczęło się zupełnie niespodziewanie. Nadciągnęły ciemne, czarne chmury, zerwał się wiatr i zaczęło sypać kulami gradowymi. Moja siostra objęła mnie na ile się dało, skuliłyśmy się, by nasza powierzchnia ciała była jak najmniej tłuczona. A tu tłukło i tłukło. Siedząc w zagonku ziemniaków, czułyśmy pod sobą z minuty na minutę podchodzącą wodę. Potem już dosłownie była to rzeka. Modliłyśmy się głośno, odmawiając nasze: „Kto się w opiekę...”. Dzieci ruskie później opowiadały, że gdy moja siostra Ola zaczęła się żegnać, zaraz grad powoli zaczął się uspakajać. W ogóle natura syberyjska była nieokiełzana – wyładowania atmosferyczne tak żywiołowe, tak zaskakujące, a jednocześnie krótkotrwałe. Chociaż to gradobicie w ogródku trwało długo.

Po takim „wyhasaniu” się natury od razu na niebie pojawiała się precudna tęcza, obejmująca szerokością swoich barw całe niebo. Jak cudne były tęcze syberyjskie, tego nie da się opisać. A jednocześnie taka tęcza była zapowiedzią, że już przyroda będzie spokojna, że już nie będzie padał deszcz czy grad i nie będzie szalał wichur. Tęcza niosła zapowiedź harmonii i spokoju dla natury i dla biednego człowieka, który zagubiony, gdzieś w stepie, gdy zobaczył taką tęczę, czuł się spokojny i bezpieczny. Po takich szaleństwach natury pozostawały kałuże wody. Bardzo lubiłam brodzić po tych kałużach.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, były słone jeziora. Mój brat Tadeusz przypomina sobie, że chodził nad jedno z jezior i zbierał sól, ale to nie była czysta sól. Zbierał ją na brzegu razem z zanieczyszczeniami. W domu wybierało się z tego kryształki soli. Były to kryształki o różnych kształtach i różnej wielkości. Mój brat Tadeusz wspomina, że kiedyś spotkał wilka, który mu się bacznie przyglądał, a potem na szczęście pognał w step. Wilki spotykało się u nas bardzo często. Były raczej spokojne i raczej nie atakowały w lecie, natomiast w zimie podchodziły pod osiedla, niesamowicie wyjąc i wykradając wszystko, co się dało. W jednym z listów, z 8 VIII 1945 r. (załącznik 10), piszę tak na ten temat:

Psuw tu niema dużo dlatego, że zimom wilki chodzą i wyciągają wszystkie psy. Wilki nocą potchodzą do miasta i nie boją się nikogo latem nawet chodzą w przeszłym roku u jednej gospodyni o godzinie 8 rano rozerwali cielaka koło domu.

Warto w tym miejscu dodać, że psów też nie było. W czasie takiego głodu, jaki był w tych latach, żaden pies nie podlegał ochronie, gdyż nie tylko wilki pożerały psy, ale robili to przede wszystkim ludzie.

Często wspominam o tym, że Szczerbakty miały swoją stację kolejową. To była stacja węzłowa, przez nią przejeżdżały pociągi do Pawłodaru i dalej. Nas

najbardziej interesował przejazd pociągów, których wagony przewożyły sól. Nie była to sól kopalniana, ale wydobywana z jezior. Ta sól w drodze rozsypywała się i po odjeździe pociągu zbieraliśmy ją na torach kolejowych, nawet w dużych odległościach od Szczerbakt. Zbieraliśmy nawet najdrobniejsze kawałki, chociaż nieraz były i duże, zwłaszcza gdy jechał transport, który miał dziurawe wagony. Na nasze szczęście zdarzało się to często i wówczas mieliśmy bogate żniwo zbiorów. Mieliśmy czym posolić, chociażby lebiędę, która miała zupełnie inny smak, gdy była posolona.

Chodząc po stepach, często można było zauważyć umykające spod nóg susły. Susły były podobne do dużych szczurów, koloru żółtawo-srebrnego, bardzo tłuste i o gęstej sierści. Wyłapywaliśmy je jesienią. Ich mięso, nawet zupełnie zwyczajnie przyprawione, stanowiło przysmak, a skórki po obróbce były wykorzystywane do robienia czapek lub rękawic. Susłów było bardzo dużo, ale były bardzo sprytnie i trudne do złapania. Specem od ich łapania był mój brat Tadeusz. Umiał robić na nie zasadzki, tzw. *kapkany* i dość często dzięki tym zasadzkom „upolował” dorodnego susła. Upolowanie susła, a zwłaszcza dwóch susłów, było zazwyczaj świętem dla naszej rodziny. Tadeusz polował też na ptaki, które przypominały czajki. Miał do tego specjalnie skonstruowany łuk. Na łuk zakładał wyostrzone „strzały” i czasem udało mu się przynieść jakiegoś „zestrzelonego ptaka”. Chodziłam z bratem na te polowania. Przypominam sobie, że kiedyś biegnąc za Tadeuszem, który uganiał się za ptakami, wbiłam sobie kolec do popękanej pięty (chodzenie bosą) i mój brat zmuszony był zakończyć „polowanie”, gdyż musiał mnie odprawić do domu, niosąc na plecach, bo sama nie potrafiłam iść.

Zachowało się takie zezwolenie wydane 10 V 1945 r. na wyjazd do Karasuka. Zaświadczenie to było wydane mojej siostrze Aleksandrze, z zaznaczeniem, że może jej towarzyszyć nieletni brat Tadeusz. Ważne było pięć dni na przejazd do Karasuka i z powrotem do Szczerbakt.

Wiem, że moje rodzeństwo, jeżdżąc, pokonywało tułaczą drogę, upraszając maszynistę pociągu, by wolno im było wejść do jakiegoś wagonu towarowego i dojechać do celu, a potem znów tak samo z powrotem. Przeważnie były to jakieś pociągi łapane, nigdy nie bezpośrednio. Nieraz cały dzień czy noc przesiedzieli na sta-

Форма № 1

ПРОПУСК И ПРОПУСК № 122984

Изначально _____

С сообщается, что гр. Александр Александрович

Александр выдан 10 мая 1945 г.

пропуск № _____ сроком на 15 дней 1945 г. на право

въезда в временное проживание в с. Карасук

(указать точное название города, села) являющегося запретной пограничной зоной (погрансой).

Вместе с указанным лицом следуют лица, не достигшие 16 лет

Александр Александрович Медведь, друг

указать точно фамилию, имена и отчество

но сестры

и возраст каждого, приложить фотокарточку на _____

Сказало лицо, достигшее 14 лет _____

В случае нарушения указанного лица к _____ г.

несу сообщать для принятия необходимых мер.

Изначально _____

Załącznik 15. Zezwolenie na wyjazd do Karasuka

cji, wyczekując na pociąg, który nie zawsze był kierunkowy, a jeśli nawet i kierunkowy to nie zawsze udało się do niego wsiąść.

W tym miejscu moment zadumy. Czymże jest życie ludzkie skoro tak bardzo walczy się o to życie, zwłaszcza gdy jest zagrożone? Czymże jest Ojczyzna? Myślę, że nigdy nie kochałabym tak bardzo swojego kraju, gdybym nie przeżyła wygnania i tej ogromnej tęsknoty za własną ziemią, własnym językiem i własnym prawem do kraju. W tym prawie do własnego kraju jest wiele niedosytu i ten niedosyt może tak bardzo odczuwam, dlatego że jestem Sybiraczką. A może również dlatego, że w moich żyłach płynie krew polskiego żołnierza, który od siedemnastego roku życia aż do kresu swoich dni walczył o tę wolną, o tę suwerenną i sprawiedliwą Polskę?

Lata 1945–1946 nam dzieciom przyniosły możliwość uczęszczania do szkoły polskiej. Ta możliwość prawdopodobnie utworzyła się z chwilą powstania Związku Polskich Patriotów. W listach pierwsza wzmianka o szkole polskiej znajduje się w moim liście z 30 V 1945 r. (załącznik 5):

...Ja i Edzio chodzimy do szkoły Polskiej....

Następna wzmianka jest w liście mojego brata Edwarda z 8 VIII 1945 r. (załącznik 10), w którym pisze następująco:

...chodzę do pierwszej klasy mam trudności z tabliczką mnożenia...

W liście z 20 IX 1945 r. (załącznik 13) jest taka informacja:

...U nas już mróz i dużo śniegu. Edzio nie chodzi do szkoły. A ja w koc się okręcę i idę do szkoły...

Wzmianka o tym, że mój brat nie chodzi do szkoły, dotyczy prawdopodobnie krótkiego okresu, kiedy chodziliśmy do szkoły, ale na zmianę, bo mieliśmy jedne walonki, tzw. *pimy*.

Trudno tu mówić o jakiejś polskiej zorganizowanej szkole. Ot, po prostu, gdzieś w jakieś lepiance było wydzielone pomieszczenie, w którym pod opieką pani Boksztaninowej, kwalifikowanej nauczycielki, Polki, Sybiraczki, gromadziły się dzieci polskie w różnym wieku. Uczyły się pisać i czytać po polsku. Siedziałyśmy wszystkie razem, te ośmio- i dwunastolatki. Zadania dostawaliśmy jednak różne. Nie było zresztą nas dużo, 8–10 dzieci. Uczono nas również matematyki.

Mój brat w liście z 8 VIII 1945 r. pisze (załącznik 10):

...mam trudności z tabliczką mnożenia...

Przekazywano nam także historię Polski. Były to lekcje patriotyzmu. Ponadto chciałam zaznaczyć, że to, iż pisaliśmy po polsku, jak to widać w listach, to wyłącznie zasługa naszego rodzeństwa, które mimo tak trudnego życia znalazło dla nas czas, aby nauczyć się pisać i czytać po polsku.

Utworzenie Związku Polskich Patriotów u nas w Szczerbaktach zmobilizowało będących tam Polaków do działalności. Nasz Związek w rejonie ciurupińskim zorganizował A. Zukiel, który był przed wybuchem wojny posłem ziemi mołodeczkańskiej. Został aresztowany z chwilą wkroczenia Sowieców na nasze tereny, a potem po amnestii z 4 VIII 1941 r. wypuszczony z więzienia. W mię-

dzyczasie jego rodzina została wywieziona na Sybir. Po odszukaniu rodziny przyjechał na Sybir i w ten właśnie sposób znalazł się w Szczerbaktach.

Jak już wspomniałam, w okresie działalności Związku Polskich Patriotów zaczęliśmy chodzić do szkoły polskiej. Ponadto młodzież polska zaczęła organizować się w tzw. Koła Młodzieżowe. Sekretarką Koła Młodzieżowego na terenie Szczerbakt została Halina Olszewska, która obecnie mieszka we Wrocławiu, a jej matka Stanisława Olszewska weszła do Zarządu Związku Polskich Patriotów. Od tego czasu zaczęło się na terenie Szczerbakt polskie życie kulturalne i patriotyczne. Były organizowane wieczornice, przedstawienia. Głównie dzięki Pani Boksztaninowej, wyżej wspomnianej nauczycielce. Pamiętam przedstawienie, w którym mój brat Tadeusz był jednym z synów Budrysa („Stary Budrys trzech synów tęgich jak sam Litwinów...”). W tej strasznej biedzie znaleziono jakieś stroje, instrumenty, stworzono piękny chór. Tadeusz grał na skrzypcach, które jakoś się zachowały, a siostra Ola należała do chóru. Znalazły się nuty, teksty oraz ludzie, którzy podjęli się nauki śpiewu i dyrygentury. Znalazła się również w jakiejś lepiance świetlica, w której zbudowano prowizoryczną scenę. Pamiętam, że tam urządzono dzieciom Gwiazdkę. Nie jestem pewna czy to był rok 1944 czy 1945, ale raczej 1945. Wiem, że dostałyśmy po trzy ciasteczka. Pamiętam do dziś jak wyglądały.

Nie jestem pewna od jakiego momentu, ale chyba od 1945 r. zaczęły napływać do nas dary UNRY. Na Boże Narodzenie, chyba w 1945 roku, dostaliśmy z UNRY konserwy rybne, od których mieliśmy wszyscy silne zatrucie pokarmowe. Były też i ciuchy zagraniczne. Ja dostałam granatowy płaszczyk. Był to najzwyczajniejszy płaszczyk wiosenny, jednak dla mnie był najcudowniejszy. Rozdziałem darów UNRY zajmowała się Ewa Podwińska, wspomniana wcześniej żona lekarza.

Ewa Podwińska wyjechała ze Szczerbakt wcześniej od nas, razem z rodziną żydowską Gołowieńczycami (to nazwisko przypomniała mi Kalina Olszewska). Była to rodzina, która wspólnie z nami i z Ewą Podwińską dzieliła wagon wywózki. Ewa Podwińska drogą pośrednią o cały rok wcześniej wróciła do kraju i, jak nam wiadomo, zamieszkała w Warszawie. O wcześniejszym wyjeździe Polaków z Sybiru wspomina moja siostra Ola w liście z 17 X 1944 r. Píše ona tak:

...Od nas już dużo Polaków wyjeżdża do domu. Żeby wyjechać, trzeba mieć pozwolenie z obłości dokąd chcesz jechać....

Na ten temat pisze również moja siostra w liście z 24 VIII 1945 r. (załącznik 11):

...Niedawno od nas wyjechało pare rodzin na Ukraine i na Białoruś a pare i do Polski mieli papiery z Warszawy no ale my nie wstanie byliby tak jechać.

Moja mama również w swoim liście z 28 XI 1945 r. (załącznik 14) pisze na ten temat następująco:

Dużo naszych co byli razem z nami już są w domu a my kiedy? z naszą rodziną trudno trzeba mieć dużo pieniędzy a nam stale brak...

Cmentarz na stepie i pogrzeb zmarłych. Każdy zgon w grupie Polaków był przeżyciem bardzo silnym. Zdawało się, że nasza rodzina maleje oraz maleje siła tej grupy, która nie chce umrzeć na tej ziemi. Jednak ludzie umierali, najbardziej w 1944 r., gdy szalał tyfus. Z bliskich polskich rodzin zmarła najmłodsza siostra Gisiczówna. Pozostały dwie starsze siostry i matka, które bardzo rozpaczały po jej zgonie. One właśnie wracały z nami do Polski w tym samym wagonie. Pociąg się jeszcze dobrze nie rozpedził, a już mijaliśmy step i z odległości widać było cmentarz, na którym pozostawiły zwłoki swojej siostry i córki. Do dziś słyszę łkanie matki i dwóch sióstr. Były to bardzo bolesne łkania i tego nie da się zapomnieć. Pogrzeb zmarłych był bardzo smutny, nie było trumien, zwłoki wrzucało się do wykopanej ziemi. W zimie natomiast zagrzebywało się zwłoki w śniegu. Jeśli wilki nie rozszarpały zwłok, to dopiero wiosną, gdy ziemia odmarzła, grzebało się je w ziemi.

W swojej „Syberyjskiej drodze” zbliżam się do końca. 4 V 1946 r. prawdopodobnie zapadła decyzja w sprawie naszego wyjazdu do Polski. Otrzymujemy „zadatek” zaległych pieniędzy z miejsc naszej pracy.

Ф. № 63

Центральная (районная) сберкасса *Урютинский Райсберкассы*
(г. Урютинск, Читинская область)

Почетная сберкасса № _____

ОРДЕР (счетовый)
4 мая 1946 г.

на *150* руб. коп.

В *2113*
(наименование центральной (районной) сберкассы или управленая сберкасса)
Адрес _____ (город, село)

Заполняется при совершении операции в порядке междуклассовых расчетов

Содержание операции
одна тысяча двести пятьдесят три рубля 50 коп. в удостоверение 152354
Тридцать три года рождения Яковлевича Яковлевича
облигации 2 В/3 500, 3 В/3 450 и 1 В/3
550 р. в удостоверение 152354

Зал. сберегательной кассой _____ Гл. бухгалтер _____
(подпись)

Начальник отдела _____ Ответственный провод _____
Кассир Г. Г. Г. Г.

Дебет счета № _____ Кредит счета № _____ Дебет счета № _____ Кредит сч. № _____
_____ 194 г. Г. Г. (ст.) бухг. _____ 194 г. Г. Г. (ст.) бухг.

Заказ 1239

Ф. № 63

Załącznik 17. Zaświadczenie o zaległych pieniądzach z miejsca pracy

Центральная (районная) сберкасса № Центральная сберкасса Райсберкасса (в Рязанской обл.)

Подотчетная сберкасса № _____

ОРДЕР (счетовой)

4 . мая 1946 г.

на 174 руб. 14 коп.

В _____ (наименование центральной (районной) сберкассы или управления сберкасс)

Адрес _____ (город, село)

Заполняется при совершении операции в порядке междукассовых расчетов

Содержание операции

Сумма ссуда Генерал

Труженико Рай Админого Александров
Феликсовича Александровича
коммиссионера И. И. Удосило Вершин Б. 236

Зав. сберегательной кассой _____ Гл. бухгалтер _____

Начальный провод _____ Ответный провод _____

Дебет счета № _____ Кредит счета № _____ Дебет счета № _____ Кредит сч. № _____

_____ 194 г. г. Г.з. (ст.) бухг. | _____ 194 г. Г.з. (ст.) бухг.

Заказ 1239

Ф. № 63

Załącznik 18. Zaświadczenie o zaległych pieniądzach z miejsca pracy

Центральная (районная) сберкасса № Центральная сберкасса Райсберкасса (в Рязанской обл.)

Подотчетная сберкасса № _____

ОРДЕР (счетовой)

4 . мая 1946 г.

на 150 руб. _____ коп.

В _____ (наименование центральной (районной) сберкассы или управления сберкасс)

Адрес _____ (город, село)

Заполняется при совершении операции в порядке междукассовых расчетов

Содержание операции

Сумма займа Генерал

Труженико Рай Админого Павловича
Феликсовича Иренина Александровича
зав. И. И. Удосило Вершин Б. 236

Зав. сберегательной кассой _____ Гл. бухгалтер _____

Начальный провод _____ Ответный провод _____

Дебет счета № _____ Кредит счета № _____ Дебет счета № _____ Кредит сч. № _____

_____ 194 г. г. Г.з. (ст.) бухг. | _____ 194 г. Г.з. (ст.) бухг.

Заказ 1239

Ф. № 63

Załącznik 19. Zaświadczenie o zaległych pieniąдzach z miejsca pracy

Otrzymaliśmy również jakieś wyposażenie i prowiant na drogę. Załączam ksero tych zaświadczeń. Na jednym jest napisane: „dano Adamskim”, a na drugim: „dano Adamskiej”. „Adamskim” to prawdopodobnie mamie i nam nieletnim, tzn. braciom Tadeuszowi, Edwardowi i mnie. „Adamskiej”, czyli mojej siostrze Aleksandrze. Dano jej osobne pismo ponieważ była pełnoletnia.

сировакка
ошио Адамский
Трошри 4/2-462
сировакка
ошио Адамский

сировакка
ошио Адамский
Трошри 4/2-462
сировакка
ошио Адамский

Załącznik 20. Zaświadczenie o otrzymaniu wyposażenia i prowiantu na drogę

również przez wspólne wygnanie, bo większość to także zesłańcy, stał się nam bliski, a ponadto tym bardziej przez tę straszną wojnę, w której zginęło tak wiele ludzi radzieckich. Nie było dnia w czasie wojny, aby nie rozlegały się płacze ludności miejscowej, bo oto nadszedł list, że zginął mąż, syn, narzeczony, brat, zięć... Zginęło ich strasznie dużo i wiele polało się łez po twarzach żon, matek, dziewczyn, siostr poległych tak licznie żołnierzy.

Przed tymi Poległymi i tymi, co tyle wylali łez, dziś chylę czoło. I chylę czoło przed symbolicznym grobem mojego Ojca Feliksa Adamskiego, męczennika tej strasnej wojny, męczennika obozu kozielskiego, a potem samego Katynia.

Dokładnie nie pamiętam daty, ale chyba gdzieś z końcem maja lub początkiem czerwca 1946 r., wczesnym popołudniem nadjechał pociąg, nasz pociąg! Nie wiem czy trwało to pół godziny, czy może krócej, a my błyskawicznie pojawiliśmy się przy wagonie z naszą taczka tułaczyczych rzeczy. Szybko weszliśmy do wagonu. To było marzenie naszych długich lat, sześciu tragicznych lat. Jak mogliśmy wówczas wyglądać, skoro rok temu, 30 V 1945 r., moja siostra w swoim liście pisze (załącznik 4):

...Steniu nawet nie wyobrażasz sobie nas takich jak jesteśmy, w rzeczywistości ja sama sobie nie wierzę, że to jesteśmy my...

Pożegnanie z wygnaniem! Pożegnanie również z tym Narodem, który przez głód, chłód i ubóstwo, jak

Ten symboliczny grób zawiera jego cząstkę, bo zawiera zakopaną w tym grobie ziemię katyńską, tę ziemię, która tak obficie została zlana krwią zamęczonych tam jeńców polskich. W tej zakopanej ziemi zamknęliśmy takie oto słowa:

Najdroższy Mężu, Ojczy, Teściu i Dziadku! Zginąłeś dla świata męczeńską śmiercią w Katyniu, ale w naszej pamięci żyjesz i pomagasz nam żyć dla Boga, Ojczyzny i ludzi. Teraz mamy grudkę ziemi z Twojego wspólnego grobu w Katyniu. Będzie ona miejscem naszych spotkań. Jesteśmy z Ciebie dumni, chociaż ciągle, mimo tylu lat, pogrążeni w żałobie. Bardzo nam Ciebie przez cały czas brakowało. Żona i dzieci z rodzinami.



Fotografia 6. Sybiracy. Moja Mama, brat Tadeusz i ja przy symbolicznej mogile Ojca

Niech te wspomnienia mojego życiowego dramatu, dramatu mojej rodziny i wszystkich tam przebywających Polaków, będą hołdem złożonym Bogu, który dał nam „nadzieję wbrew nadziei” na powrót do kraju. Niech będą również hołdem złożonym za to, że ja i inni Sybiracy możemy stąpać po polskiej ziemi,

rozmawiać po polsku i kochać to wszystko, co zostało w nas zaszczipione od pokoleń. Cierpienia i śmierć wielu Sybiraków niech staną się ziarnem naszego zmartwychwstania. Zmartwychwstania do suwerenności, wolności, sprawiedliwości i prawdy. Tak nam dopomóż Bóg i Nasza Królowo Korony Polskiej, Maryjo!

Halina Mil z domu Adamska, Sybiraczka

POLSKIE TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE
ПОЛЬСКОЕ ЭТНОГРАФИЧЕСКОЕ ОБЩЕСТВО
SOCIÉTÉ POLONAISE D'ETHNOLOGIE

50-139 Wrocław, ul. Szewska 36, tel. 44-38-32
Konto P.K.O. IV QM Wrocław Nr 93549-11240-132

Prezes

L.dz.

600/konk/190

W odpowiedzi powołać się na
naszą listę dziennika

Wrocław, dnia 7 maja 1989 r.

W. Pani

Halina Mil

ul. Wierzyńska 79/10

50-550 Wrocław

Dotyczy:

Wielce Szanowna Pani,

z prawdziwą przyjemnością informujemy, że Pani praca
pt. "Moja syberyjska droga" przekazana na konkurs dotyczący
wspomnień i materiałów z pobytu Polaków na Syberii, Dalekim
Wschodzie oraz innych terenach Związku Radzieckiego w la-
tach 1939-1956 została wyróżniona honorową nagrodą jury.

Jeśli nie zaistnieją jakieś zasadnicze przeszkody natury
edytorskiej "Wspomnienia" te zostaną opublikowane w całości
lub we fragmentach.

Z poważaniem


mgr Antoni Kuczyński
Sekretarz jury


prof. dr Czesław Hernas
przewodniczący jury

